Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

PAN MICHAŁ.

Wspomnienie myśliwskie

przez

Kazimierza hr. Wodzickiego.

I.

Zmieniają się czasy i my z niemi. W przyrodzie i w ludzkości, przy zmianie warunków bytu, znika z powierzchni ziemi roślina, drzewo, zwierz, w końcu i człowiek ginie lub się przeistacza; przechodząc z typowego, czyli specyalnego wykształcenia i zajęcia, w formy przez ogół przyjęte, stosować się zmuszony do potrzeb i wymogów ogólnych, traci ten urok, okalający typowe postacie, podziwiane w opisach a znikające już z naszej widowni. Historya przechowuje tradycye, tak w szerokich rozmiarach jak i w drobnych szczegółach, przekazuje pamiątki potomności. Każdy gmach składa się z kroci cegiełek, a obraz kraju jest również gmachem, wytworzonym z niezliczonych drobnych szczegółów, przedstawiający zajmującą całość — my zaś tę całość duszą pieścimy, jako samorodną, bez naleciałości z obczyzny. Pleśnią czasu przykryte szkice, epizody i zdarzenia, odróżniające się od ogółu postacie, wyrastające po nad poziom ludzi, typy rzeczywiste, już nie do wyczarowania w naszych czasach, pozostają jedynie pamiątką, podstawą do porównania co lepsze, czy dawne, czy dzisiejsze, czy ludzie się poprawili, czy zepsuli, czy ustrój społeczny sprawiedliwszy i pożyteczniejszy, czy w końcu panuje ta sprawiedliwość, oparta na miłości bliźniego, do której każdy człowiek ma prawo, czy typy z dawnych lat miałyby racyę bytu w dzisiejszym składzie społeczeństwa i naszych warunkach? We wszystkich zawodach i kierunkach czynić możemy te spostrzeżenia, a one jak i porównania przyniosą pożytek i ubarwią nam tak często zachmurzony nasz umysł.

Zamknięty ściśle w granicach naszych krajów, uczuciem i myślą studyuję te dziejowe postacie, które wywierały tak stanowczy wpływ, posiadały niepospolite znaczenie, wzbudzały podziw, uwielbienie, cześć, to znowu wstręt, niechęć i wzgardę.

Komu Bóg przeznaczył długą drogę do przebycia w tem życiu, temu się przesunęły przed oczyma tysiące jednostek; szczęśliwy on, jeżeli uchwycił i przechował miłe duszy obrazy i może je do przechowania przekazać. Nie zamierzam szkicować postaci mędrców, mężów stanu, wojowników i geniuszem obdarzonych ziomków, lecz trzymając się ściśle wyznaczonych ram „Łowca“, przedstawię myśliwego z dawnych

czasów, wzbudzającego dziś jeszcze moje uwielbienie i podziw, a to w nadziei, że go koledzy moi łaskawie przyjmą i w pamięci przechowają.

W szpaltach „Łowca“ zostawił nam pan Aleksander Ubysz żywe obrazy myśliwych najróżnorodniejszych kategoryi. Miłe te opisy podały mi myśl dołączenia do Pyłypa, Prefekta, Kniazia kłusownika, Romanowskiego, Tyszkowskiego, Tanasa i Reb Duwida, postać zasługującą na przechowanie jej w pamięci naszej.

Jakto dawniej bywało, ukończywszy me wykształcenie na licznych wszechnicach za granicą, nauczywszy się wiele, rzeczywiście nic nie wiedziałem — *ex omnia aliquid, ex toto nihil.* Powróciłem do kraju w roku 1840, a odziedziczywszy majątek ziemski, oddałem się z zamiłowaniem gospodarstwu, o którem wyobrażenia nie miałem i z początku rzeczywiście z kalendarza uprawiałem rolę — a z namiętnością myśliwstwu, do którego miałem pociąg od najmłodszych lat. Dowiedziawszy się, że w sąsiedztwie mojem, na Podolu galicyjskiem, mieszka sławny nawet na dalekie okolice myśliwy, postanowiłem go poznać, pomimo, że go mianowano odludkiem, oryginałem, polującym jedynie ze swą służbą, nie lubiącym nawet zaprosin na zbiorowe polowania. Ułożywszy treść listu, cechującą zamiłowanego myśliwego i oddającą mnie pod opiekę tak znakomitego łowca, posłańcem wysłałem list z zapytaniem, czy mnie przyjąć zechce w swoim domu? Widocznie list mój Nemroda zadowolnił, gdyż mnie grzecznie do siebie zaprosił.

Pan Michał S... już wtedy był nieco na odwrocie; brzuszek zaokrąglony zapuścił, sapał mocno idąc pod górę, miewał duszności i często nawiedzała go chrypka, co razem wzięte, było dosyć dolegliwe, lecz bynajmniej nie przeszkadzało polować z namiętnością przy jakiembądź powietrzu. Z tej miłej nad wyraz i pożytecznej znajomości korzystałem zaledwie przez dziesięć lat, gdyż w roku 1856. oddał pan Michał Bogu zacną swą duszę. Nie znałem go za młodych lat, więc świetnych czasów jego łowiectwa pamiętać nie mogę, lecz i te kilka lat zostawiają mi w pamięci zdarzenia i wypadki, mogące zapełnić tomy całe opowiadaniami, zajmującemi dla prawdziwych myśliwych, studyujących przecudną przyrodę, zwyczaje i naturę zwierzyny, którzy z estetycznem zamiłowaniem upatrują rozkosz nie w strzelaniu, lecz w cudownych dekoracyach, otaczających polowanie.

Gdy zajechałem przed domek pod ciemną strzechą, wyszedł pan Michał i z godnością mnie powitał. Powaga jego miłe na mnie wywarła wrażenie; był to typowy szlachcic, samodzielny i odrębny, z czem się nie krył i pchał swe życie otwarcie i odważnie, jak to mówią, z przyłbicą podniesioną. Oczywiście przygotowałem się z perorą, w której górowała myśl, że przyjeżdżam jak uczeń do mistrza i proszę o pasowanie mnie na myśliwego. Widocznie ujęty niespodziewaną przemową, z uśmiechem zadowolenia wprowadził mnie do izby.

Każdy obraz wymaga światła i cieniów — często najdrobniejszy rys i szczegół go uzupełnia — muszę więc prosić czytelników o wyrozumiałość i pobłażanie, gdy będą czytali opisy mieszkania, gospodarstwa, służby i psiarni, lecz to stanowi całość mego obrazu, ja zaś wywdzięczając się, starać się będę o lakoniczność w tym opisie. Izba wybielona obszerna, z olbrzymim żółtym, kaflowym piecem, w środku podłużny stół dębowy i sześć krzeseł drewnianych, przy ścianie kanapa kilimkiem pokryta, nad stołem na suficie rozpięty orzeł przedni, w oknach dwóch dwa zadąsane gile, faworytalne ptaki pana Michała i w obszernej klatce rodzina hałaśliwych kanarków, przy piecu krzesło rzeźbione z dębowego drzewa, z olbrzymiem oparciem, pochodzące może z czasów Jagiellońskich, wybite sarniemi skórkami, u nóg futro z czarnego niedźwiedzia, czerwonym suknem obszyte, widocznie wybrane miejsce dla odpoczynku i drzemki. Działo się to w ostatnich dniach października, przy dosyć chłodnej temperaturze, to też ogień okłotami zasilany, wesoło przyświecał, dwa małe jamniczki do pieca nosy przytuliły dygocząc, a wyżeł pomrukując ogrzewał sobie mordę. W izbie wisiały pułki, na nich leżały stosy kalendarzy zapisanych, bo to była regestratura pana Michała.

Przejrzawszy później niektóre z tych kalendarzy, czułem coraz silniejszą żądzę posiadania tychże, wszakże nie zdobyłem się za życia na proszenie o ten cenny dar, a po śmierci pana Michała zatracono je. Zapisywał on tam wprawdzie dochody i rozchody, zbiory i sprzedaże, dnie urodzenia zwierząt domowych, lecz w tych zapiskach były także skarby dla myśliwego: szkicował ludzi z artystycznym talentem, obrazowo kreślił epizody i zdarzenia myśliwskie, żywo charakteryzował życie i zwyczaje zwierząt i ptaków i nie jedną myśl wielkiej doniosłości składał do tego dyaryusza.

Pan Michał nieodmiennie się ubierał: nosił długą szaraczkową kapotę, wyszywaną czarnemi tasiemkami, z przodu pętelki, z tyłu na bokach sznureczki, buty z wysokiemi cholewami i z kutasem dyndającym, który moją ciekawość wzbudzał, gdyż nie wiedziałem przyczyny i pożytku tej ozdoby i dopiero później dowiedziawszy się, że to tradycya rodzinna, już na niego innem okiem patrzałem. Te u kapoty wiszące pętlice powodowały nie jeden zły humor i kwasy, gdyż zawijając się niekiedy o kurki strzelby, uniemożliwiały strzał. Wiernie jednak do śmierci były zachowane, widocznie jak kutasy, tradycyą przekazane. W święta i w towarzystwie występowała granatowa kapota z pętlicami i sznureczkami, w lecie płótnianka wyszywana, w zimie znowu kapota lisami podszyta, zawsze tego samego kroju. Na głowie w lecie olbrzymi słomiany kapelusz wiejskiego wyrobu, w innych porach roku czapka z szarych jagniąt krymskich. Na polowanie brał pan Michał arcystarą torbę z borsuka, z workiem na zające i lisie skórki, gdyż zwykł był w jednej chwili zdejmować skórę i rzucał ścierwo. Torba mieściła jeszcze manierkę, przekąski i pierniki, jedyne łakocie pana Michała. Oczywiście w długiej kapocie przy chodzie, tłukł o poły kolana, targał ją na krzakach i była ona powodem nie jednego wypadku. Gdym mu tę uwagę uczynił, odpowiedział: „Grunt panie ciepło trzymać kolana, bo to podstawy do chodzenia.“ Dziś sobie nieraz te słowa powtarzam, gdy łamać pocznie w kościach po tylu zimach na koniu za psami przepędzonych. Wprawdzie i panu Michałowi strzykało dokuczliwie, lecz on to przypisywał polowaniom na kszyki i kaczki.

Ściśle charakteryzując pana Michała, muszę wyznać, że był kłusownikiem w całem znaczeniu tego słowa i na swojem mająteczku przez całe życie nie byłby wystrzelał funta prochu; nie znał granic ni własności polowania; lecz z drugiej strony zanotować muszę, że gdy po polowaniu postrzegał niezadowolenie właściciela, lub mu takowego wzbroniono, wtedy już żadna pokusa byłaby go nie namówiła do zagonów na wzbronione grunta. Inne to były wtedy stosunki, a nader mało myśliwych i strzelców w kraju, więc rzeczywiście dla nas granic nie było i polowania rzadko gdzie broniono; kto zaś właścicielowi oddawał zwierzynę, tego proszono, aby dowolnie polował. W ten sam sposób osobiście polowałem przez długie lata, goniłem, gdzie mnie głos psów wołał, nie wiedząc w czyim lesie jestem, jak od-

dalony mój dom od miejsca zakończenia mych łowów, gdzie wózki, a nieraz pytałem gdzie służba pozostaje — i częstokroć nie było innej rady, jak, zostawiwszy zwierzynę, wracać po własnym tropie. Tem mniej broniono nam polować po stepach i bagnach przy mych awanturniczych wycieczkach ornitologicznych.

Pan Michał corocznie odbywał dwie wycieczki w góry: we wrześniu i mniej więcej w grudniu polował z psami po kilka tygodni na kopniu, później na śniegu na kilkunastomilowej przestrzeni. Usłużny, sympatyczny i inteligentny, cichy i niewymagający, wszędzie bywał z życzliwością przyjmowany. Nawet mu otworem stały niektóre rewiry kameralne, te tajemnicze asilia, do których nie wolno zawsze profanom zaglądać. Polując niemal wyłącznie na dziki i niedźwiedzie, posuwał się pod połoniny, a przybrawszy sobie miejscowego gajowego, nocował po kilka dni po kolebach i szałasach, a niekiedy i pod gołem niebem przez kilka nocy, wytrzymując doskonale to twarde życie nomadzkie w tak posuniętej porze roku.

Ulubionem polowaniem pana Michała było polowanie na kaczorki. Gdy śniegi stopniały, woda spłynęła na nizinki i potworzyła jeziorka czasowe, wtedy jeździł po kilka mil po Podolu, znając doskonale każde zbiorowisko wody i do domu wieczorem przywoził kilkanaście kaczorów. Mówił mi raz na polowaniu takiem:

— Nie uwierzysz mi pan, że ta kaczuszka jest wielce przebiegłą ptaszyną; ona zawsze wyszuka amanta. Zdarzało mi się, że tej samej kaczce odstrzeliłem 8—10 kaczorów, a ona sobie dobrała świeżego.

Później w miesiącu lipcu polował na kłapacze, tak zwane przez gmin „wypiory“, później na podloty. Pierwsze wynosił Bekas z wielką powagą i układał na kupę, a dopóki ostatniego nie wyłapał, z pewnością jeziora nie opuścił, lotne zaś kaczki ginęły od śrótu. Bekas był doskonałą osobliwością, nietylko, że posiadał nader ostry wiatr, lecz do tego i niepospolity rozum i rzeczywiście spożytkował swe długoletnie doświadczenie. Gdy biegł koło wózka, stawał twardo do zwietrzonej zwierzyny, tak, że było dosyć czasu do nabicia nawet strzelby; na wózku jadąc nawet wietrzył niekiedy, a wtedy najeżał sierć, uszy podnosił i trząsł się cały. Za kaczkami pływał do dna wody, jak okrętowy nurek, i dosyć długo pozostawał pod wodą.

W czasie żniw, z przykładną wytrwałością i rozumną pomocą Bekasa, szukał pan Michał po okolicy dropi karzełków, gminnie zwanych „pardwami“, tych prawdziwych stepowców, już rzadko kiedy pojawiających się u nas. Specyalnością zaś pana Michała było polowanie na obydwa gatunki naszych siewek; jeździł za niemi po kilka godzin i niemal codziennie. Patrząc na ten wolno posuwający się wózek z panem Michałem, od rana do nocy z lunetą w ręku, widoczny na tym horyzoncie w wielkiej odległości, mimowolnie nasuwała się myśl, że to posuwająca się wolno po ciemnym tle postać pokutującej duszy.

Znał wprawdzie pan Michał ulubione łany siewek, wszakże nieraz powracał bez zdobyczy w czasie lodowatego deszczu i mokrego śniegu; wtedy mówił dzwoniąc zębami: „Bo to widzi pan, te ptaki nie są do strzelania w dniach słonecznych; nie bez przyczyny nazwali je Niemcy „*Regenpfeifer*“, a u nas przodkowie „dżdżownikami“, bo gdy szarga, to się tłuką po polach.“ Już wtedy skarżył się na zmniejszającą się ilość małej siewki nazwanej „żartownisiem“. Przypominam sobie dwa strzały pana Michała, po których z pomocą Bekasa zebrał siedmnaście złotych siewek. Smaczne i tuczne to ptactwo, u nas tak mało wyzyskiwane. Mają te same zwyczaje co i szpaki, mianowicie, że w locie wirują, kłębują i zbijają się w kupę; wtedy śrót bywa morderczym.

Polowanie na dropie było obrazem nieporównanej cierpliwości i wytrwałości, którą pan Michał wzbudzał moje podziwienie. Jeździł po łanach i stepie, dopóki nie upatrzył dropi ze swym *alter ego* Grzesiem. Mieli dwie krowy na niskich nogach z tektury, jedną siwą, drugą srokatą, naturalnej wielkości, doskonale wymalowane i sami te lekkie ciężary dźwigali. Przyjechawszy do dropiów, pan Michał składał dowody swego artyzmu i znakomitej organizacyi w polowaniach, wzbudzał we mnie uwielbienie, wszakże nie zaszczepił chęci naśladowania, gdyż przy mojem temperamencie zbytnia niecierpliwość mnie ogarniała. Przecież siedząc na wózku w oddaleniu, przez całe godziny przypatrywałem się tym manewrom. Pan Michał z Grzesiem wysiadali, brali krowy na ręce, wózek zaś krążył bez przerwy w oddaleniu, aby uwagi ptaków na siebie nie zwracać. Z jednej i z drugiej strony podchodzili stadko żółwim krokiem, niby to skubiąc trawę, gdy zaś dropie przestawały żerować, lub się na nogach podnosić, okazując zaniepokojenie, wtedy obydwa myśliwi siadali lub klękali, niekiedy w wodzie lub w błocie, jak wypadło, nieruszając się, dopóki dropie się nie uspokoiły, co trwało czasem i godzinę. Nie chcę przedłużać opisu szczegółami tych znakomitych manewrów, pomagających do ubicia tych ostrożnych ptaków, dodać tylko muszę, że to były studya rzeczywiste nad zwyczajami, naturą i ruchami tych ptaków. Często instynkt dropi zwalczył rozum ludzki i stadko odleciało w dalekie strony, wszakże często ubijali siedzące ptaki, lub je sobie napędzali. Najczęściej postrzelony odrywał się od stada, błąkał się bałamutnym lotem nad łanami okiem nieprzejrzanemi, i padał na ścierń lub w spóźnione zboża — więc za nim jeżdżono, szukano do wieczora i nareszcie zmrok pędził myśliwych do domu. Zawalany i przemoczony, zmęczony nad miarę, zaraz w następnych dniach podejmował pan Michał znowu tę samą walkę, bo jego zawziętość na dropie a wytrwałość były nie do opisania.

Do przepiórki nie strzelił, mówiąc z uśmiechem:

— Ja ją mam zabijać, kiedy ona woła: chodź tu żąć? — a na mnie rzucał pogardliwy wzrok, gdy je ujrzał do torby przytroczone. Wodnikami, chruścielami i kurkami brzydził się jak gadami.

Siedząc zadumany koło mnie na wózku, przerwał raz milczenie na widok bociana i rzekł:

— Oto, panie, asekurowany i protegowany zbrodniarz w naszym kraju. Popatrz, co ich chodzi po stepie, po bagnach i łanach, a to najrozumniejszy z naszych ptaków i dla myśliwych szkodliwszy od wielu drapieżców, pracowity, baczny i przemyślny, żyje naszym kosztem, pożerając przez cały dzień młode zające, pisklęta i nie gardzi jajecznicą, nic bowiem nie ujdzie temu argusowemu oku, spuszczonemu bez przerwy ku ziemi. Lecz do niego nie strzelę i ojciec mój byłby nie strzelił, bo to nasz Ibis i ludek nasz go szanuje. Nie dosyć nauka śledziła dotąd pożytek zdziałany przez ssaki i ptaki. I tak: koty są w jesieni dobrodziejami na łanach, na wiosnę i w lecie zbrodniarzami; złodziejska sroczka, sprytna i zapobiegliwa jest szkodnicą, łowi co może w pojedynkę i spólnemi siłami, ona artystka w wyrządzaniu szkody. Sojka, ten nasz figlarz lasowy i brzuchomowca, nie mało piskląt niszczy. Wiewiórka, kształtna, bawiąca nas na polowaniu gimnastycznemi skokami, zjada niemało piskląt i jaj pożytecznych ptaków. Piszą i mówią, że bocian łowieniem szczurów i myszy, pożeraniem gadów, robaków i larw chrabąszczy (pędraków), żab i glist jest pożyteczny. Nie-

wiele on szczurów złapie przez życie, za myszami nie poluje wyłącznie, a węże, glisty są nam pożyteczne, na pędraki zaś wystarczają nasze wrony, więc obrachowawszy jego zasługi i szkody, musimy go potępić. Na śmiech mi się zbiera, gdy bociana chwalą za pożeranie kroci żab; chciałbym wiedzieć, co żaby szkodzą? Wyznać muszę, że mi się dusza raduje, gdy na wiosnę kumkać poczną, a potem zaskrzeczą weselną pieśń. Krety i ropuchy kupują Francuzi, a nam się cieszyć każą, że je bocian wytępia.

Na dubelty polował pan Michał. Znał wszystkie sznurki na stepie, wiedział gdzie i kiedy przylecą z pewnością jasnowidzącego. Inne terminy dawał mi w słotne, inne w suche lata, również stosował swe wycieczki do wczesnych i do późnych wiosen. Do kszyków niechętnie strzelał a niekiedy i pudłował, dubelty zaś, przy pomocy wystawiającego je Bekasa rzucał jednego po drugiem, wszakże ich nie jadał twierdząc, że to niezdrowe te ptaki. Wytrwałości był niepospolitej, gdyż po polowaniu na bagnach i zamoczeniu nóg nie przebierał się, a gdy ja to czyniłem, uśmiechał się ironicznie, poglądając na ostrożnego towarzysza. Mokry, zamurdzany, powracał do domu i tu dopiero suche suknie przywdziewał.

II.

Pan Michał ukończył chwalebnie nauki w szkołach w Buczaczu u OO. Bazylianów, słynnym wówczas zakładzie, który nie potrzebował wtedy jak dziś podszycia jezuitami. OO. Bazylianie wychowywali młodzież surowo, lecz troskliwie, dokładnie nauki wpajali, a z ojcowską czułością pielęgnowali uczniów. Niemało też ludzi niepospolitych i krajowi pożytecznych wychowało się w Buczaczu, oraz wielu przykładnych kapłanów. Pan Michał *expedite* mówił po łacinie i na polowaniu w Węgrzech zadziwił mnie, gdy począł szwargotać z madiarami łaciną, gdyby rodzinną mową. Język węgierski był wtedy mało używany w własnym kraju; mówiono po łacinie lub po słowacku. Dziś, wzrósłszy w potęgę i pychę, zdawałoby się, że chcą Węgrzy zmusić wszystkich do uczenia się po madiarsku.

Rodzice pana Michała przeznaczyli go do zawodu duchownego, lecz on, zamiłowawszy strzelbę, pieska i pług, o sutannie i studyach teologicznych słyszeć nie chciał. Pomagał ojcu w gospodarstwie, a po śmierci rodziców odziedziczył majątek, spłacając ratami brata. Własność ta była obrazem futoru, składającego się z nagiej przestrzeni o 300 morgach i lasu 50, rzeczywiście do zaprawiania psów. W lecie obraz ten smętnemi myślami duszę napełniał, oko nie miało oparcia, wzrok gonił po falujących zbożach i zatrzymywał się na firmamencie, zamykającym krajobraz. W zimie całun śnieżny pokrywał okiem niezmierzoną przestrzeń, istny cmentarz ludzi z lodowatem sercem za życia; myśli błąkały się w żałobie, dusza w marzeniach się zatapiała i mimowolnie nasuwała się myśl, że istotnie nasza ziemia zostanie zniszczoną przez zamrożenie.

Opodal od schludnego, wybielonego domu, kwadrat z oknami inspektowemi i kapuśniakami, dalej sad, najczęściej bez liści, które chrabąszcze ogryzły, po bokach obora i stajnia, szpichlerz i stodoła, w około gospodarskich budynków szopa, stertki zboża, kopiaki, stogi i brogi ze sianem. Wśród tego wszystkiego odznaczała się psiarnia z podwórzem, sztachetami okolonem, koło niej studnia z żórawiem a przy niej koryto dla pójła. Czystość i porządek wzorowy, drobiu różnego gatunku bez liku, cichość przerywana gaworzeniem ptaków, skomleniem sobaczek lub rykiem bydła. Dwie stare schorowane wierzby, okazujące swe spruchniałe wnętrzności, koło nich pasieka, składająca się z kilkudziesięciu ulów bezdenników, któremi się pan Michał osobiście opiekował. Skromna ta zaiste własność w zupełności wystarczała dla prawdziwego anachorety, który zaspokajał z niej swe potrzeby, świadczył wiele dobrego i jeszcze składał grosiwo, jak mówił „na czarną godzinę“. Mało czytał i żadnej biblioteczki w domku odkryć nie mogłem, zato rozmyślał wiele, zdrowo i poważnie, obdarzony wiadomościami dostatecznemi, często szerokiemi poglądami na prądy ludzkości zadziwiał, oryginalnością zdań zajmował słuchacza, a wszystko to było samorodne, jemu właściwe, bo w życiu od drugich nic sobie nie przywłaszczył.

Pomimo specyalności myśliwskiej, był pan Michał dziwnie prawdomowny, nawet w opowiadaniu najmniejszej przesady nigdy dopatrzeć nie mogłem. Tę u myśliwych nader rzadką cnotę umiał strzelcowi zaszczepić; co który na polowaniu powiedział lub doniósł, było rzeczywistą prawdą i nie byłem nigdy zawiedzionym. Głęboko religijny, bez ostentacyi, nigdy swych zdań nikomu nie narzucał, sam zaś wiernie praktykował; cichy, prawy, szczery i dobroczynny, musiał zdobyć szacunek i przyjaźń, jeżeli jej nie usuwał, co się najczęściej zdarzało. Niemal lat czterdzieści upłynęło już, a ciepłe i miłe wrażenie pozostało mi po nim w pamięci i co raz jeden słyszałem z ust jego, tego nie zapomnę nigdy.

Ku końcowi października wyjątkowo nas niebo obdarzyło spokojnym, pogodnym i dosyć ciepłym wieczorem. Koczowaliśmy w kolebie. Ogień wesoło pryskał, zasilany smolnemi, szpilkowemi gałęziami; gęste iskry, na kształt rac, daleko się goniły i w gąszczach zaświeciwszy po raz ostatni gasły, a za niemi świeże się sypały, istne ognie sztuczne, rozwidniające zapadający zmrok. Ujmujący i czarujący był to obraz: nas czterech przy ogniu, troje grzejących się kundysów, Dereszka pana Michała i i mój wierny Siwek, skubiące owies w torbach, nad nami gwieździsty firmament jaskrawego błękitu, gdyby wyrwany z nieba neapolitańskiego, w dali krocie rozłożonych ogni, broniących lichego zboża przed niedźwiedziami i dzikami, a cały obraz ujęty w ciemne ramy lasu świerkowego. Pan Michał ukląkł i basowym głosem zanucił:

Bądź pozdrowiona Maryo przeczysta,
Królowo święta, Panno wiekuista itd.

Poczem śpiewał:

Wszystkie nasze dzienne sprawy,
Przyjm litośnie Boże prawy itd.

Strzelec Grześ chrypliwym, jak trafnie mówią, wódczanym głosem wtórował, co dowodziło, że podobne śpiewy i modlitwy często się odbywały. Śpiew ustał, cisza zapanowała na tej bezludnej i dzikiej okolicy, a ta grupa modlących się wywoływała w duszy pobożną prośbę: Niech będzie od wszystkiego stworzenia cześć wszelka i dziękczynienie, żyjącemu i królującemu Bogu na wysokości niebios. Rozkwilony tem wrażeniem z wzruszeniem uściskałem pana Michała.

Sen miał twardy, borsuczy, a chrapał pełnemi organami i to była cieniowa strona naszego pożycia.

Nie mogę przystąpić do opisu zdarzeń myśliwskich, zanim nie opiszę służby i psów pana Michała, bo to podstawa całego obrazu. Na pierwszem miejscu oryginalny szczegół życia myśliwskiego, mianowicie opis jego broni. Z pewnością nie był by sobie żałował najkosztowniejszej strzelby przy myśliwskiej namiętności, lecz nosił, że się tak wyrażę,

domorodną i byłby jej nie odstąpił za skarby świata całego. Lufki gładkie małego kalibru, a strzelał z nich do grubego zwierza nader trafnie sztofami, które z ołowiu sam wycinał i pasował — to też wystrzelane do cienkości papieru cygaretowego, z oprawą i kolbą zrobioną przez kowala z okolicy. Strach mną miotał, gdy pan Michał strzelał po kilkanaście razy. Sądziłem, że lufki lada chwila pękną i zacny mój towarzysz szwank poniesie, wszakże moje obawy były płonne, gdyż ta niepokaźna strzelbina służyła mu do śmierci, gromiąc zwierzynę wszelkiego gatunku. Strzelby swej nikomu nie powierzał; posądzam, że się bał złego oka, a gdy jej przy sobie mieć nie mógł, wtedy ją Grześ piastować musiał, a wożono ją w futerale z krajki, watowanym.

Strzelec Grześ był unikatem w swym zawodzie. Pomocnik nieoszacowany, wychowanek pana Michała, sierotka niewiadomego pochodzenia, czarny, z cygańską cerą i kręcącemi się włosami, mały, barczysty, z nieco wykrzywionemi nogami, lecz chodził jak laufer. Za młodych moich lat chodziłem i ja chodem niepospolitym i wytrwałym, wszakże, gdym Grzesia widział biegającego po lesie, skaczącego po łomach i zwaliskach, przesuwającego się przez debry i parowy zarośnięte, prującego gąszcze jak odyniec — przyznałem mu stalowe nogi, a rzutność gazeli. Gdyby było wolno Grzesiowi strzelać, to byłby zawsze do zwierza przed psami strzelał, bo zawsze przy nich był pierwszy, lecz jego posłuszeństwo i wstrzemięźliwość były podziwienia godne. Wiedział doskonale, kiedy mu wolno zwierza ubić, a kiedy czekać na swego pana, mianowicie, gdy psy były w niebezpieczeństwie, lub gdy się dzik w dalekie strony wysforował. Sforność, posłuch i akuratność w wykonaniu dyspozycyi przyznawałem mu zawsze; gdy zrozumiał, z pewnością wykonał; lecz rozmowa między panem a sługą często dla mnie nie była zrozumiała, bo czego usta nie dopowiedziały to ruchy uzupełniły. Kto mało znał Grzesia, mógł mniemać, że jest niemy, tak był małomowny; zerkał tylko swemi czarnemi oczami, a ruchami ręki i głowy dopowiadał. Jeżeli pan Michał na polowaniu za mało używał wódeczki, to Grześ niekiedy za wiele w sobie mieścił spirytualiów, lecz nigdy do stopnia bezprzytomności, lub senności. Namiętny myśliwy i chciwy strzału, lecz nigdy ze szkodą panów, pomimo, że nim trzęsła gorączka strzelca. Za młodych lat odwagi, graniczącej z szaleństwem, nieraz wskakiwał na dzika i z kordelasem szedł na niedźwiedzia. Dopiero bolesne doświadczenie nauczyło go ostrożności. Poturbował go raz niedźwiedź pazurami tak, że Grześ przez długie miesiące przeleżał w srogich cierpieniach, a na udach nosił dwie grube szramy, jako pamiątkę niepospolitych kłów odyńca górskiego.

Otrzymał wtedy nauczkę, której — jak sam mawiał — do śmierci nie zapomni. Warto to zdarzenie opowiedzieć. Grześ biegł za głosem psów, a odyniec uciekający zdybał go przy pniaku, na którym się nieszczęśliwy strzelec przewrócił i na niem pozostał nieruchomy. Na to czekał dzik, uderzył z wściekłością w pniak i począł kłami ciąć spruchniałe drzewo. Szczęście męczennika, że pniak był wysoki, więc pełne cięcia czynił odyniec w pniak i końcówkami jedynie kłów kaleczył skórę Grzesiowi; a taki był zawzięty, że pomimo szarpiących mu zad psów, nie odczepiał się od myśliwego. Dopiero po długiej chwili nadbiegł pan Michał i powalił tego potwora celnym strzałem. Grześ stracił był przytomność, a gdy go ocucono, począł się na srogiem mrozie rozbierać, przekonany, że go odyniec na sznycla posiekał. Pokazało się wszakże, że rany są płytkie, jak scyzorykiem zadane. Zobaczywszy skutki walki odbytej, przeżegnał się i wybełkotał: „O mój Boże święty, cały jestem, a ja czułem, jak przy każdem cięciu bestya kawałki ciała mi wyrywał!“ Bardzo komiczny był to epizod, gdyż odyniec za każdym cięciem kilka trzasek z pnia wyrzucał, a końcami kłów ranił Grzesia, on zaś był przekonany, że to kawałki od ciała oderwane rozlatywały się w powietrzu.

Ten wyjątkowo sumienny strzelec rozczulał mnie, gdy wieczór, zmęczony nad miarę, szedł odważnie na połoniny trąbić i strzelać na zabłąkane psy, i najczęściej je przyprowadzał koło północy. Rzeczywiście nigdy niestrudzony, karmił dokładnie zgłodniałe sobaki i dopiero się na spoczynek układał. Do rysia zapędzonego na drzewo nie wolno mu było strzelać, bo to była prerogatywa pana Michała. Gdy to nastąpiło, Grześ trąbił i pilnował drapieżnika. Jednego tylko zabił Grześ i to wśród okoliczności szczególnych. Owóż wypatrzył raz między gęstemi konarami samicę rysia z dwoma dorosłemi rysiątkami. Przywołany pan Michał zabił matkę i młodego, a Grześ mówi: „Nabijaj pan, na górze siedzi trzecie.“ Pan Michał śledzi, chodzi, upatruje ze wszystkich stron, a pomimo, że Grześ palcem wskazuje miejsce, zobaczyć nie może, i nareszcie z bolem karku pozwolił Grzesiowi zastrzelić trzeciego ku wielkiemu jego zadowoleniu.

Wiele bym jeszcze mógł opowiedzieć zdarzeń podobnych, wielce zajmujących, lecz nie chcę nużyć czytelników.

Grześ przejął spokojność i cierpliwość pana Michała; przez godzinę całą podkradał się ze srokatą krową pod dropie, na zasiadkach jak posąg siedział nieruchomy, nawet przy dokuczliwych komarach, gdy psy trzymały dzika, a pan Michał nie nadchodził — co trwało niekiedy i godzinę — czekał, i dopiero gdy się psy rozskoczyły, palił celnie tak do dzika jak do niedźwiedzia. Rzeczywiście nie pamiętam chybnego jego strzału do zwierza przy kundysach. Nieoszacowana to była indywidualność; byłbym ją złotem obsypał w służbie. lecz po śmierci pana Michała, kazał mi powiedzieć, że drugiemu panu nie będzie służył, pomimo, iż był mi bardzo życzliwym, i odstępował mi nieraz strzał — co było największą z jego strony ofiarą.

Mój miły Filuś, śliczne chłopiątko, jakiś przytulony przybłęda z Mazurów, cisnących się na Podole po karze niebios za straszne bratobójcze zbrodnie roku 1846. — Filuś spasiony do okrągłych kształtów, kwadratowy, z rumieńcami i świecącemi policzkami, zawsze uśmiechnięty, z łagodnem wejrzeniem swych dużych czarnych oczów, był guwernerem psów i opiekunem psiarni. Chodził on na spacer z psami rano i wieczór, kąpał je w sadzawce i czesał codziennie, w ręku nosił harapnik, a w kieszeni mosiężny grzebień. Ile razy go pan Michał zdybywał, zawsze pytał: „Filuś, masz grzebień?“ Filuś odpowiadał: „Mam, jaśnie panie.“ „To dobrze, pamiętaj o tem.“

Filuś nie bywał nigdy karany, służył do stołu, zamiatał pokoje, ptakom jeść dawał i czystość klatek utrzymywał, w jesieni łapał czyże, w zimie na sidełka gile i to mu sprawiało wzruszenie i radość niezmierną. Zdrów, silny, wytrzymały i świeży jak brzoskwinia, wcale nie rósł przez długie lata i nie wiem, czy go na cal przybyło. Na polowanie mu nie wolno było chodzić, jedynie w lasku pana Michała chodził z ogarami, podkładał doskonale, dźwięcznym dyszkantowym głosem nawoływał i jak to mówią, był zawsze na ogonach psów. Pewnie teraz z niego znakomity się musiał wyrobić myśliwy — tak przypuszczam, bo ślad jego straciłem.

Do uzupełnienia tego wyjątkowego dworu, opisać muszę panią Katarzynę, rzeczywiście Tercyarkę świętobliwą i do-

broczynną, w bardzo już podeszłym wieku, co wszakże nie przeszkadzało, że o panu Michale troskliwie pamiętała, całym zarządem się trudniła i objady nam dostarczała. Trzęsła jej się głowa, trzęsły i ręce, pojąć nie można było wykonania sztuki kucharskiej, ale też, co prawda, obiady u naszego anachorety należały do podrzędnych spraw, z czego się wcale nie cieszyłem.

Ostatnia istota w tym dworze była Paraszka, Herkules dziewka, pyzata i pyskata. Zdaje mi się, że jej ramiona były grubsze od mych udów; rumiana brunetka, wysoka, szeroka, z męzkiemi nogami. Był to język zaiste niepospolity. Gdy w złości, a często się gniewała, poczęła chrypliwym głosem wygadywać i kląć, to się zdawało, że to kominem z piekła posyłane przekleństwa. Doskonale drób chowała i nabiał utrzymywała, więc ją pan Michał cierpiał, pomimo, że sobie uszy zatykał.

Niech mi wybaczą czytelnicy następujący tu długi ustęp zużytych opisów psów myśliwskich, bo polowanie z psami, to już nie dla nas, ani dla potomności. Zaginęły doborowe psiarnie i polowanie z psami należy już niestety do historyi. Nie usłyszymy już wdzięcznego skomlenia, radujących się na sforach sobaczek, ani też tego pojedyńczego głoszenia w kniei, za którym słyszymy drugie i trzecie, nareszcie kaskadę najróżnorodniejszych tonów, wytwarzających elektryzującą harmonię, której się żadne serce oprzeć nie może, które poczyna szybko bić, tłuc się i tłoczyć do gardła, zdawałoby się, że zadusi. A ten zwierz głosami zaślepiony i zdziwiony — jakie to on przybiera kształty, całkiem inne, niźli przed nagonką; pędzi jak szalony, tłucze się niekiedy o drzewa, w krzaki się zawikła, pod nogi myśliwemu wpada, zaślepiony, bo opanowała go widoczna bojaźń przed chwytającemi go psami. Lub inny, co usłyszawszy w oddaleniu te groźne głosy, staje, przysiada, namyśla się, widocznie plany do ratunku układa... Sto obrazków zaryło mi się w pamięci, a każdy barwisty, poetyczno estetyczny, a każdy odmienny wśród zieleni lasu lub na białej zimowej powłoce. Jak to nas za młodych lat bawił ten zajączek na jasnym lesie. lub na ścianie i oddalonej uboczy, gdy pędził, kołkował, powracał, przysiadywał, w tropy swe gonił, instynktem nauczony, aby tropy za sobą zacierał. Godzinami bawił mnie ten widok zajączka zdziwionego i zostającego w niepewności, czy te przeklęte sobaki jego gonią, czy innego? Jakie on miny i grymasy stroił, jak strzygł słuchami, skokami przebierał jak klawiszami — istny obraz wielkiego zaniepokojenia.

To wszystko działo się przed innymi psami, lecz nie przed psami pana Michała, bo te z mordami podniesionemi pędziły kupą jak pancerna fregata i w krótkim czasie zając ginął od śrutu lub pod zębami psów.

Jednego zająca starego i siwego przez długi czas nie mogli ubić i uwzięli się na biedaka, aż w końcu ubili W pewnym zastępie psy przestawały gonić, poczynały bąkać i polowanie się już kończyło, gdy wtem natarczywa Lutnia dopatrzyła mądrego zająca, gdy wskakiwał na lipę i chował się do dziupła. Oczywiście psy wiankiem otoczyły drzewo z ujadaniem, a myśliwi przyszli, wydobyli ogromnego samotnika i udusili.

Nikt nie miał i nie posiadał podobnych psów. Prawda, że żadnego dla siebie wyprosić nie można było, bo w tym względzie pan Michał był nieubłagany, a psy, nie rokujące wielkich nadziei, strzelać nakazywał. Piątka gończych pana Michała, z Lutnią na czele, była nieporównanej doskonałości. Aby tę doskonałość zcharakteryzować, opiszę tylko jedno polowanie.

W oddaleniu dwóch mil od Dniestru ruszyły raz psy na porębie lisa, znanego już ze swych płatanych figlów, lecz wykradł on się po za linię strzelców i wreszcie głosy w dali zaginęły. Pan Michał powiada: „Lis poszedł do łozów nad rzekę, tam się trochę zabawi, możemy śniadać.“ Zanim dokończyliśmy nasze skromne śniadanie, już nas głosy psów wołają; biegniemy do lasu i widzimy lisa, skurczonego, z wywieszonym językiem, a za nim Lutnia i brat jej, nieporównany spiewak. Można było lisa kijem ubić, lecz my go oddali na pastwę rozżartych psów. Psy te odbyły pięć mil drogi, niespełna w dwóch godzinach.

Bardzo często pożarły ony sarnę i wtedy z obżartemi sobakami kończyło się polowanie. W mych wspomnieniach myśliwskich poświeciłem pamięć wdzięczną Lutni, roztarganej w naszych oczach przez wilka. Wilka goniły zawzięcie, również niedźwiedzia, często młodego zapędzały na drzewo, kunę prowadziły doskonale — widocznie do tego polowania wprawione — gdy drzewowała; psy jej głosem towarzyszyły, dopóki który ze strzelców jej nie ubił — dzików jednakże wcale gonić nie chciały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Powitanie łowów.

Ciesz się znowu myśliwcze, coś do łowów wzdychał:
Skrzydlaty wódz rycerstwa, idzie święty Michał.
Stopa jego żelazna hydrze łeb przygniata,
A on z rogiem łowieckim zwraca się do świata
I dzwoni w róg, znać dając, jako znów jest skory
Powieść myśliwskie rzesze na pola, a w bory!

Usłyszał biedny szarak rogu pieśń złowrogą,
Staje słupka zdziwiony i w dal czmycha z trwogą.
Kozioł, co dawno otarł o pień swe gomuły,
Na odzew tak donośny mniej zdaje się czuły —
Niepewny, czyli czasem ucho go nie mami,
Dumnie w górę młodemi rzuca parostkami.

Tam znów stary mykita, co w losów kolei
Poznał już chytrość ludzką, wynosi się z kniei —
I gdy czmycha cichaczem, spotyka po drodze
Odyńca — a ten staje przerażony srodze,
Fuka się, skręca ogon, łeb wznosi i w gniewie
Pędzi naprzód, choć — dokąd? — sam zapewne nie wie...

Witajże w polu, w kniei, Huberta drużyno!
Gdy ścieżki strugą liści opadłych już płyną,
Gdy wiatr coraz chłodniejszy szumi bez ustanku,
Gdy brzask z zdumieniem widzi w lesie, o poranku,
Jak każde źdźbło i gałęź jakiś czar zaklęty
Odziewa w drobne szronu iskrzące dyamenty —

Wy wówczas w czarnem polu wytężacie oko,
Aby miotów zapusty przeniknąć głęboko;
I darmo stawiać opór chce borów podszycie:
Nie ujdzie nic baczności tam, gdzie wy śledzicie,
A gdy hasło nagonki odezwie się w lesie,
Grają strzały, a knieja echo strzałów niesie.

Witajcie! tu czujecie tylko siebie sami...
Troski dnia i ból życia — wszystko po za wami.
Nawet wzburzona fala politycznej toni
Na cichem stanowisku — tu was nie dogoni.
Wokoło drzemie knieja, jak wylana z złota,
Z góry słońce jesieni blaski swoje miota...
W dali widnokrąg barwny niby ogon pawia...
Bóg tylko i natura do was tu przemawia.

Gdy zaś, tłumiąc swem najściem sen ziemi uroczy,
Demon wichrów północnych śniegiem sypnie w oczy;
Gdy zniknie pod osłoną tego puchu białą
Wszystko, co jeszcze z lata w kniei pozostało —
Wy wówczas, tak jak dawniej, twardo i wyniośle
Staniecie znów przy swojem łowieckiem rzemiośle.
Nawet w mrozie zapały wasze nie przeminą...
Na białej gonić stopie za płową zwierzyną,
Ścigać groźne odyńce i wściekłe basiory —
Któż się z was nie okaże do tej walki skory?

Rycerski dziś animusz pierś rozdyma twoją,
O, myśliwcze, gdy widzisz jak dziki się roją.
Tak! Hartuj pierś, wytężaj twe oko i ramię,
A gdy ono w tych bojach przeszkody przełamie,
Gdy z mysiem i odyńcem w ustawicznej wojnie,
Potrafisz broń morderczą utrzymać spokojnie,
To nie zadrżysz też kiedyś wobec przeciwnika,
Co gorszy od niedźwiedzia i gorszy od dzika...

St. R.

ŁAPKI NA LISY.

W celowieckiem piśmie *Waidmanns-Heil*, z podpisem Waldbär, napotykamy następującą nadzwyczaj ciekawą relacyę:

„Każdy z myśliwych umie coś ciekawego opowiedzieć o sprycie i chytrości, z jaką mykita unika zasadzki i udaremnia najlepiej obmyślane plany myśliwego. Wprawdzie słyszeliśmy już o nadzwyczaj rzadkich wypadkach, że spotykano lisa śpiącego na polu, lub w innych niemożliwych do przewidzenia pozycyach, lecz te odosobnione wypadki są wyjątkami, wymagającemi jeszcze bliższego badania i dają pole przypuszczeniu, czy nie mamy w nich do czynienia z jakim chorobliwym stanem lisiego rodu. W ogóle lis jest nadzwyczaj przebiegłym.

Przez 25 lat mozoliłem się nad tępieniem rodu lisiego i muszę się przynać niestety, że mi te rude bestye nieraz sadła za skórę zalały, a zdobycz każdego futerka lisiego ciężką była pracą. Uprawiałem wszystkie metody strzelania i chwytania lisów, wertowałem całą literaturę myśliwską, ażeby się czegoś nowego dowiedzieć, zastosowywałem wszystkie fortele starych i doświadczonych myśliwych — ale zawsze i wszędzie, z małemi jedynie wyjątkami, przekonałem się, że walka na chytrość, ze starymi zwłaszcza lisami, to rzecz wielce trudna. Wszystkie te moje usiłowania przypadały na ową porę, gdy strychnina, jako trutka na lisy, nie była jeszcze tak bardzo rozpowszechnioną i tak łatwą do uzyskania jak obecnie. A przecież z całym zapasem ludzkiej przebiegłości, staranności i cierpliwości, udawało mi się pokonywać mykitę tak, że w końcu polowanie na lisa stało się moją główną pasyą myśliwską. I każdym razem uczuwałem prawdziwą rozkosz, gdy mi się udało mykitę trupem położyć.

Gdy już strychnina stała się pospolitszym środkiem na lisy i łatwiejszą była do otrzymania, byłem już tak zacietrzewionym strzelcem, że nowość ta nie chciała mi przypaść do smaku. Widziałem łatwe zwycięztwa moich sąsiadów, podziwiałem, jak bez wszelkiego trudu kładli orzeszki, czy świeczki strychninowe, a nazajutrz rano zbierali wygodnie i zanosili do domu potrute lisy. Pozwoliłem się więc wtajemniczyć i w tę sztukę łowienia, lecz nie mogłem nabrać serca do tych tajemnic trucicielskich. Nie czułem żadnej przyjemności w zakładaniu tej zresztą niebezpiecznej trutki, i nie sprawiało mi roskoszy myśliwskiej, gdym powyciągane konwulsyjnie zwłoki lisów po polu zbierał. Zdawało mi się, że struty mykita czyni mi wyrzuty za skrytobójczą, wcale nie myśliwską praktykę, a następstwem tego było, żem cały zapas strychniny rozdarował i do dawnych mych fortelów powrócił. A że i w ten sposób poram się jakoś z tępieniem lisów, świadczy ta okoliczność, iż od kilku lat mam już znacznie mniej lisów w rewirze niż moi sąsiedzi, którzy przez całą zimę swojemi świeczkami zatrutemi manipulują.

Przed laty sprawiał mi nadzwyczaj wiele strapienia rewir, przepełniony lisami. Dzień i noc stałem z nimi w otwartej wojnie. Młody i niedoświadczony, popełniłem niejeden ciężki błąd, niejedną niedorzeczność, słuchając złośliwych rad mego sąsiada, również zajadłego łowcy lisów. Złość na siebie samego z powodu tych niedorzeczności uczyniła mnie nieco roztropniejszym i sprawiła, żem odtąd wytężał oko i ucho, ażeby wiadomości wyczytane lub zasłyszane z istotnym biegiem rzeczy w naturze sprawdzać, ażeby zwierzęta w życiu, nie zaś z książek studyować. Jakoż na przekorę zazdrośnemu sąsiadowi doszedłem do tego, żem mój kawalerski pokoik przyozdobił wkrótce skórkami lisiemi i inną zdobyczą łowiecką, i nieraz zachodził do mnie handlarz futerek, ażeby mi te trofea na brzęczącą monetę zamieniać.

W ciągu czterech lat uganiałem też z taką namiętnością za lisami, że się wkrótce bardzo przerzedziły. Strzelałem do mykity na polowaniach, biłem go z zasiadki na przynętę w nocy, łapałem w żelaza, paście, sidła, tak, żem sobie w końcu powiedział: „No, teraz już nie ma i trzech lisów w całym rewirze.“ Jak się niestety przerachowałem, pokazało się wkrótce.

Na wiosnę przeszukałem troskliwie wszystkie znane mi jamy lisie i wykadziłem je tak okropnie, żem był pewny, iż żadna pani mykicina nie zamieszka ich już dla lęgu.

Przypuszczenie moje było całkiem słuszne, ale wypuściłem z rachuby przebiegłość pani mykiciny.

Pewnego poranka — a było to w porze roku, w której każda porządna lisia matka musiała już mieć młode - zbudził mnie gwałt niesłychany. Z kurnika na podwórzu zginęło w ciągu nocy ni mniej ni więcej tylko dziesięć kur, najwidoczniej przez lisa pochwyconych.

— Piękny mi myśliwy! — wołała z rozpaczą i złośliwością stara gospodyni. — Chrapie, że aż dom trzeszczy, i nie widziałby, ani słyszał, gdyby mu lis ciepłą poduszkę wyciągnął z pod głowy!

Ta uwaga ugryzła mnie do żywego. Zarzuciłem strzelbę na ramię i puściłem się po rosie porannej na poszukiwania za złoczyńcą.

Około 2000 kroków od domu szumiała ciemna puszcza, a na samem jej brzegu stała szopa, w której siano przechowywano. Otóż w pobliżu tej szopy zauważyłem w trawie kilka piór. Do stu piorunów! Czyżby tu?... Myśl ta wywołała mi rumieńce na twarz jak wyznanie miłości u podlotka.

W istocie, tuż koło szopy była świeża, nieznana mi jama, o której nic nie wiedziałem. Szukałem lisów daleko, w całym rewirze, a one sobie obrały siedlisko tuż pod moim nosem. To było za wiele! Wziąłem się do ścisłych poszukiwań. Zatkałem starannie „okno“ jamy, wszedłem do szopy, i włożywszy kordelas w szparę między deskami, z których była ułożona podłoga, podniosłem jednę z desek. Już ostry, przenikający odór wskazał mi, że jestem na dobrej drodze. Gdym podniósł drugą deskę, ukazało się mym oczom kilka zaduszonych kur, a w samym kącie, pośród sierci i piór, leżało pięcioro lisiąt, które dopiero co ślepie otworzyły. Tu więc pani mykicina miała swój salon familijny.

Zabrałem lisięta żywe do torby, wziąłem także i ośm nietkniętych jeszcze choć zaduszonych kur, ułożyłem napowrót deski, odetkałem wejście do jamy i powróciłem do domu, nie chwaląc się przed ciekawymi, jak łatwo przyszło mi zabrać całą lisią familię. Lisy były w mej mocy, tryumf nad gadatliwą gospodynią odniesiony — i basta.

Tego samego wieczora, urządziwszy zasadzkę koło szopy, czekałem jeszcze na panią mykicinę i spodziewałem się ją ubić — lecz nadaremnie. Mykicina musiała już poprzednio oglądnąć się za młodymi, odkryła, że je zabrano i poszła w świat.

Minął rok. Ubiłem w tym czasie jeszcze dwa lisy, a trzy złapałem na żelaza, między tymi jednę samicę, w której domniemywałem się złodziejki moich kur. Następnej wiosny niepokoiłem i zapowietrzałem znowu stare jamy lisie, lecz norę tuż koło szopy zostawiłem nietkniętą. Pewnego poranku sprawdziłem w niej świeży trop; postanowiłem przeto pozostawić wszystko w spokoju, a przestrzegałem jedynie, ażeby kurnik lepiej był zaopatrzony i troskliwie na noc zamykany. Byłem pewny, że szopa dostarczy mi znowu w sposób najłatwiejszy pod słońcem całe młode pokolenie państwa mykitów.

Przewidywania te sprawdziły się najzupełniej. Gdy po niektórych oznakach mogłem wnosić, że młode lisięta przyszły na świat i są już odkarmione, zatkałem norę, podniosłem parę desek z podłogi i z tegoż samego łożyska co przed rokiem, wydobyłem cztery młode lisy. Powędrowały one ze mną do domu, a następnie dostały się za dobrą cenę do miłośników podobnych rarytasów.

Smutne te doświadczenia nie uczyniły jednak pani mykiciny ani odrobinę przezorniejszą, gdyż trzeciego roku wydobyłem z mej szopy znowu cztery, a w czwartym roku pięć młodych lisów.

Następnie musiałem się przenieść do innego odległego rewiru, gdzie także było sporo lisów, które mi dostarczały przyjemności myśliwskiej. Lecz, niestety! nie miałem tu mojej szopy na siano. Ponieważ jednak w okolicy tej chodniki jam lisich bardzo płytko pod ziemią były grzebane, wykopywanie młodych nie przedstawiało szczególniejszej trudności. Lecz przy tem kopaniu wpadłem na myśl, czyby nie było możliwem dostarczać pani mykicinie sztucznych jam i chodników, tak je urządzając, ażeby z nich potem z całą wygodą wydobywać młode.

Pomysł ten stał się czynem. W spokojnej części rewiru w którym lisy chętnie przebywały, kazałem wykopać rów, nadając mu w spodzie tę samą szerokość, jaką miały naturalne jamy lisie, ściany również kazałem wylepić tęgą gliną, a potem cały rów przykryć grubemi łomakami i zasypać. Długość chodnika wynosiła 24 metrów; wił się on łagodnemi skrętami i miał w końcu głębsze nieco łożysko, o średnicy jednego metra, na zewnątrz przez parę zasadzonych krzaków dokładnie naznaczone. Uskuteczniłem te roboty w późnej jesieni. Na wiosnę zapowietrzyłem leżące w sąsiedztwie nory, salwując własną, lecz mimo to została próżną. Na cieniutko posypanej ziemi przed „oknem“ okazał się wprawdzie raz trop lisi — lecz to było wszystko.

Rozczarowany więc porzuciłem moją sztuczną budowę i nie myślałem się nią już więcej zajmować. Dopiero w drugim roku, gdym przypadkowo koło niej przechodził, spostrzegłem z radością, że okno było z zewnątrz cokolwiek rozszerzone i wskazywało w ogóle ślady przesuwania się lisów przez nie. Wetknąłam lekko kilka drobnych słomek i przekonałem się nazajutrz, że zostały poprzeginane. A więc chodził lis tamtędy! Przez kilka tygodni kontrolowałem jeszcze z wielką ostrożnością moją norę, aż wreszcie pewnego poranku wyruszyłem ku niej z motyką i rydlem. I jakaż była moja radość, gdym po niedługiej pracy wydobył z płytkiego gniazda sześcioro małych lisiąt! A więc znalazła się przecież jedna mykicina, która wolała gotową jamę zamieszkać, niż z wielkim trudem grzebać sobie świeżą, albo zaniedbaną i opuszczoną na nowo urządzać.

Zmienne wprawdzie było szczęście, z jakiem z mojej sztucznej nory korzystałem, lecz w ogóle wziąwszy, nie mogłem się skarzyć na wyniki. Najgorszą stroną tych sztucznych nor była ich nietrwałość, oraz brak otworu do ucieczki, na co mnie same lisy uważnym zrobiły, gdyż do jednej z sztucznych nor dodały chodnik do ucieczki, wygrzebawszy go własnemi łapami.

Z czasem wydoskonaliłem budowę mych sztucznych jam. Sporządzałem je z kamieni, układanych na mchu, do przykrycia zaś chodnika używałem poprostu płyt kamiennych. Całej budowie nadawałem zazwyczaj kształt rozciągniętej podkowy, a w środku tej krzywej linii umieszczałem zagłębienie na łożysko. W górze ponad łożyskiem dawałem obramienie z drzewa i silne z brusów zrobione drzwiczki, jak do piwnicy. Na te drzwi sypało się nieco ziemi i dawało murawę, nad tem zaś miejscem, gdzie się znajdowało żelazne kółko do podnoszenia drzwiczek, zasadzałem dla zamarkowania jakikolwiek krzaczek. Ze średnicą i kształtem chodnika w przecięciu pionowem nie zadawałem już sobie wiele trudu, okno zaś, wiodące do nory, obsadzałem tu i owdzie krzewami, gęsto zaś ujście chodnika, przezna-

czonego do ucieczki, które powinno być zawsze węższem od okna wstępnego. Zaleca się tu nawet zupełne zamarkowanie otworu wysokiemi i zwartemi krzakami. Rozumie się, że o ile bardziej do natury zbliżona będzie taka sztuczna nora, o ile dziksze wybierzemy dla niej otoczenie, tem chętniej przyjmą ją lisy jako swe mieszkanie.

Używając takich sztucznych nor, zdecymowałem ród lisi w ciągu lata o wiele skuteczniej, niż to się sąsiadom moim za pomocą trutki udało. Z rewirów sąsiednich nadciągają do mnie co roku nowe lisy, wiem jednak wybornie każdej wiosny, gdzie znaleść ich potomstwo i gdzie na stare lisy żelaza nastawić. Zawsze któraś z moich nor jest zamieszkałą a częstokroć dwie i trzy naraz. W porze zaś, w której uprawiana w dolinie kukurydza dojrzewać zaczyna, pojawiają się również borsuki. I one zamieszkują z chęcią moje nory, zkąd je z łatwością wydobywam.

Jeśli mykitka obierze jedną z mych jam na kwaterę zimową, to zdradza go już pierwsza ponowa, a wtedy wypędzanie go z jamy z pomocą zajadłych jamników należy do największych przyjemności myśliwskich.

Sztuczne budowy moje oddały mi w ogóle tak wielkie usługi i nastręczały tyle przyjemności, że mogę śmiało doradzać każdemu myśliwemu, ażeby je nietylko dla ochrony rewiru swego od lisów, lecz również dla dostarczenia sobie przyjemności myśliwskiej zakładał. Jest to tem łatwiejsze, że koszt budowania owych nor jest wcale nieznaczny.“

Hodowla ryb i raków na małych stawach.

Nie ma prawie wioski, gdzieby obszar dworski nie posiadał jednego lub kilka małych stawków, które dla tego właśnie, że są zbyt szczupłych rozmiarów, nie bywają zarybiane i nie dają właścicielowi żadnego pożytku. Jednakże stawki takie, nawet z przestrzenią 0,2 hektara (1 hektar= 1,737 morg.) użytemi być mogą do hodowli ryb lub raków, przynajmniej na własną potrzebę.

Urządzenie takiego drobnego gospodarstwa rybnego lub raczarni, opisał Fr. Weiss w *Wien. Land. Zeit.*

Pierwszym warunkiem jest stały przypływ i odpływ wody, następnie dostateczna głębokość przynajmniej w pewnych miejscach stawku, by woda w zimie nie wymarzła do gruntu. W braku tych zagłębień, należy wykopać obok odpływu rów lub dół około 2 m. głęboki i wycinać nad nim w zimie przyręble, wkładając do takowych wiechcie słomy dla zapewnienia przystępu powietrza.

Dla stawków z gruntem gliniastym najstosowniejsze są karpie i liny, następnie karasie i węgorze; dla stawów nieco większych, z obfitym dopływem wody, szczupaki.

Karp jest niewątpliwie najlepszą rybą w gospodarstwie stawowem, gdyż daje smaczne mięso, rośnie szybko, jest wytrwały i żywi się robactwem, roślinnością znajdującą się w stawie, odpadkami z kuchni, ziemniakami gotowanemi itp.

W razie, jeżeli dopływ do stawu przynosi wiele namułu, szczególnie podczas większych deszczów, to lęgnące się w nim robactwo wystarcza samo do wyżywienia stosownej ilości karpi. Jeżeli jednak z jakichkolwiek powodów wypadnie dodawać żywności, to należy udzielać jej w niezbyt wielkich ilościach, i nie ponawiać dawki, dopokąd poprzednia nie zostanie zjedzoną. Dobrze jest odmieniać żywność, by przekonać się, której najwięcej pożądają. Główną jest rzeczą dobry, prędko rosnący narybek. Jeżeli takowy ma 10—15 cm. długości, to do stawku mającego $^1/_3$ hektara powierzchni, należy dać nie więcej jak 300 sztuk; lepiej nieco mniej, gdyż rosną prędzej. Najstosowniejszy czas do zarybiania jest marzec i kwiecień, gdy już nie ma obawy mrozów.

Przy zarybianiu stawków samemi linami rachuje się o 50—60 sztuk narybku więcej. Lin zadawala się prawie każdą wodą wprowadzającą namuł. W nieco większych stawkach można dać liny razem z karpiami, gdyż hodowcy utrzymują, iż one poruszają namuł, szukając robaków i tym sposobem przyczyniają żywności karpiom. W Anglii, mianowicie w Berkshire, obfitującem w stawki, rachują przy wspólnem zarybianiu karpiami i linami, 100 sztuk na $^1/_3$ hektara, a wyławia się je zupełnie co cztery lata.

O karasiach, jako mniej pożytecznych, wspominamy tylko, iż na powyższej przestrzeni może ich być do 60 sztuk, wymagają jednak obfitej żywności, gdyż inaczej nie rosną.

Szczupaki opłacają się tylko w większych i głębszych stawach, w których żywią się płotkami i innemi małemi rybami; w braku takowych nie rozwiną się należycie.

Węgorz może przebywać w takich nawet małych staweczkach, w których żadna inna ryba żyć nie jest wstanie. Stawki z węgorzami muszą jednak być zamknięte wyższymi brzegami bardzo dokładnie, gdyż najmniejsza szpara lub dziura wystarczy im do ucieczki, jeżeli miejsce nie jest upodobane. Żywią się one robakami, mięsem, małemi rybkami, roślinnością, zielonym i gotowanym grochem, słowem wszystkiem co dostaną.

Dobór gatunku ryby zależeć powinien w części i od właściwości wody. Jeżeli ona jest białą, a stawek pokryty roślinności, to stosownym jest dla karpi; wody mętne odpowiedniejsze dla lina i węgorza.

Jako zasadę trzeba przyjąć, by dawać narybku raczej mniej niż za wiele, gdyż przy zbytecznej jego liczbie brakuje żywności, co tem więcej jest szkodliwe, iż ryby wygłodzone nie łatwo poprawiają się i dają mięso niesmaczne. Wpływa na to i brak powietrza, oraz miejsca do poruszania się.

Narybek trzeba brać z miejsc pewnych, dobrze wyrośnięty i kupować na wagę.

Co się tyczy hodowli raków, doradza pan Weiss wybierać takie stawki, których dno pokryte jest szuwarem, piaskiem i wielkiemi kamieniami, brzegi zaś są podziurawione i porośnięte krzakami, od których wystają korzenie pod wodę. Brzegi muszą być tak urządzone, by raki ani przy dopływie, ani też przy odpływie wody nie mogły uciec. Do rozpłodu najstosowniej dobierać raki 5—7 letnie, ważące 20—30 gramów. Najlepszym do tego czasem jest marzec i kwiecień, gdy samiczki mają jeszcze ikrę, po której też łatwo je poznać można. Do 6 samiczek daje się 4 samce. Na $^1/_4$ morgową przestrzeń daje się 50—70 par raków. Przy sprowadzaniu raków, choćby tylko z kilkogodzinnej odległości, przestrzegać należy, by nie wkładać je raptownie do nowej wody. Najlepiej jest puszczać na plecionkę z wikli,

obciążoną o tyle kamykami, by woda przepływała po wierzchu nie grubiej jak na pół cala. Tym sposobem przenika je woda stopniowo, poczem udają się same do głębi i kryją pod kamienie i korzenie. Następnie pozostaje już tylko staranie, by strzedz je przed wydrami i szczurami wodnemi, jak oraz obfite karmienie burakami, kapustą, harbuzami, odpadkami mięsa, nieżywemi żabami, bezwartościowemi rybami i t. p. Młode wyłażą z jaj zwykle w maju.

Hodowanie raków wspólnie z rybami nie jest stosowne, gdyż jedne przeszkadzają drugim.

Daleko dokładniej opisuje hodowlę raków Fritz Püchner w temże samem piśmie. Widać, że jest doświadczonym hodowcą i podaje szczegóły z własnej raczarni.

Opuszczając cały ustęp odnoszący się do historyi naturalnej, przytaczamy z niego tylko oznaki, po których odróżnić można samca w każdej porze roku. Pancerz tołuwia i nożyce są u niego silniejsze, głaszczki (tak zwane wąsy) dłuższe i grubsze przy osadzie, ogon nieco węższy niż u samicy i bez ząbkowatego obramowania po bokach, przedewszystkiem zaś koniec ogona przy pierwszym pierścieniu zaopatrzony jest u samca spiczastemi naroślami, których samica nie posiada.

Pan Püchner utrzymuje dalej, że rak jest wielkim domatorem i nie opuszcza miejsca, w którem mu jest dogodnie. Lubi on czystą, bieżącą, obfitującą w tlen wodę. Porost roślinny jest pożyteczny dla raka, daje mu bowiem schronienie, częściowo i pożywienie, doprowadzając oraz tlen z powietrza do wody. Drobne robactwo, wiszące na tych roślinach, służy za pożywienie dla małych raczków.

Zrzucanie starej skorupy odbywa się u raków po dwakroć do roku i jest im bardzo uciążliwe; nowa powłoka tworzy się w przeciągu 8—10 dni, a materyał ku temu wyrabia organizm ich zawczasu i są nim tak zwane racze oczy.

Celem prawidłowej hodowli, radzi pan Püchner założyć wylęgarnię w środku strumyka, zabezpieczając ją od większej wody przeprowadzeniem bocznego ramienia, odprowadzającego zbyteczną jej ilość. Basen do tego ma mieć kształt nieco owalny, zakończony ostro przy dopływie i odpływie wody. Głębokość jego powinna być zastosowaną do stanu wody w ten sposób, by nie opadała niżej 0·75 metr. Do połowy głębokości należy wypełnić go nieregularnemi kamieniami, o ile być może wapiennej natury. Środek basenu pozostawia się bez kamieni, wysypując dno piaskiem. Węższy koniec basenu, obrócony ku dopływowi wody, zaopatrujemy palem, wbitym mocno w ziemię, do którego przybija się deski idące po bokach basenu i tworzące trójkąt, a to celem rozdzielenia wody na obie strony w rodzaju korytarza dla obchodzenia w około środkowego basenu. Zewnętrzna ściana tego 30 cm. szerokiego korytarza może być wymurowana z nieregularnych kamieni, służących jako gniazdo dla raków, co jednak przy gliniastym gruncie staje się zbytecznem. Tym sposobem cały stawek czyli raczarnia składa się z trzech części: okrągłego środka, niezapełnionego kamieniami lecz wysypanego piaskiem; podługowatego, zagłębionego basenu, wypełnionego kamieniami do połowy głębokości; nareszcie z korytarza idącego w około tego basenu. Przypływ i odpływ wody do stawku regulowany jest szluzami, składającemi się z kilku poprzecznych części, by można wyjmować je od góry, unikając wytworzenia dołem prądu, któryby mógł porwać młode raczki z basenu. Ocienienie stawku krzakami jest pożądane. Urządzenie powyższe przeznacza się dla 1500—2000 raków.

Najstósowniejszy czas do obsadzania wylęgarni rakami, jest — podług pana Püchnera — październik i początek listopada. Używa się w tym czasie rozpłodników już wyrośniętych i to z wody o ile być może podobnej własności, jaką mamy u siebie, najlepiej z tegoż samego ruczaju.

W listopadzie i grudniu odbywa się wytwarzanie jaj (ikry raczej) w ten sposób, iż samiczki kładą się w obranych przez siebie miejscach na grzbiecie i wypacają lepki płyn, rozdzielając takowy na dolnej części ogona. Powstają z tego ugrupowane gronka jaj po 10—12-stu, dochodzące do liczby 100—120 u jednej samicy.

Przed dopełnieniem powyższej ważnej czynności, przygotowują raki swe mieszkania zimowe, wykopują takowe nożycami i wysuwają ziemię ogonem. Kształt tych jam jest okrągły, a wielkość zastosowana do objętości ich tułowia. Po zapłodnieniu zajmują oba rodzaje swą jamę, włażąc do niej naprzód ogonem i mając do obrony nożyce w pogotowiu. Tu przestają już pożywiać się, zapadają w sen zimowy i wygrzewają ikrę.

W kwietniu poczynają raki opuszczać chwilowe swe kryjówki. Około maja wykłuwa się nowe pokolenie, trzymając się jeszcze matek przez 14 dni za pomocą nitek, na których ikra umocowaną była. Dopiero po owym czasie wychodzą samce stale z leż zimowych i ropoczynają czynne życie, szukając pożywienia, którego przez całą zimę pozbawione były. Młode raczki towarzyszą już wolno swym matkom, przy najmniejszem jednak niebezpieczeństwie szukają schronienia pod jej ogonem. Stopniowo opuszcza samica swe pokolenie, umieszczając je w bezpiecznych skrytkach pod kamieniami. Jest to najwłaściwszy czas do wybrania starych raków z wylęgalni, celem sprzedawania lub przeniesienia ich na inne miejsce, gdyż wkrótce potem rozpoczyna się zrzucanie skorupy, wywołując następnie tak wielką żarłoczność, iż nawet własne ich pokolenie nie jest przed nią bezpieczne.

Młode raki rosną szybko i zrzucają co sześć tygodni skorupę, która jednak jest miękką i podlega łatwo uszkodzeniu przez ich wrogów. Należy zatem strzedz je przed takowymi i żywić obficie rozmaitemi odpadkami kuchennemi, kawałkami ryb i żab oskurowanych, wnętrznościami zabitego drobiu i t. d.

Dopiero po sześciu miesiącach wzmacniają się młode raki o tyle, iż przy końcu września lub na początku października można przenieść je na miejsce przeznaczone do dalszego wzrostu. W tym celu spuszcza się wodę z wylęgalni, wybrane zaś raki przenosi lub przewozi się w naczyniach napełnionych świeżą wodą i trawą, unikając ile możności wszelkiego wstrząśnienia. Sprzedaż rozpłodku w okolicy, w której jest poszukiwanym, przynieść może znaczny dochód.

Do zupełnego wzrostu potrzebuje rak ośmiu lat; do użytku służyć może po czterech latach, w którym też czasie poczyna składać pierwsze jaja.

Łapanie odbywa się najłatwiej za pomocą wiązki z cierni, do której wkłada się przynętę. Wkłada się ją wieczorem, a wydobywa rano, razem z rakami, które czują się w niej bezpieczne. Łapanie ręką w dziurach psuje takowe i uszkadza raki.

Rozsyłanie raków do użytku na kuchnię, odbywa się bez wody, w naczyniach opatrzonych dziurkami dla przepuszczania powietrza i wypełnionych warstwami pokrzywy świeżej, skropionej nieco wodą.

Zabicie raków przed gotowaniem uskutecznia się przez zalanie kipiątkiem, zmięszanym z mocnym octem.

KORESPONDENCYE.

Brody 11. września.

(Z polowań.)

Dawno już wiem gdzie raki zimują — lecz od dwóch lat dopiero dowiedziałem się od sławnego myśliwego i strzelca Włocha Dalvolli, że dubelty zimują we Włoszech. Jeśli jednak chcecie wiedzieć, gdzie dubelty lato przepędzają, to wam powiem, że na Sznyrowskim błocie. Bo to wszyscy się skarżyli, że nie było dubeltów tego lata. Najwięksi szperacze piszą, że po wielu trudach ledwo do dwudziestu dubeltów zabili, i mówią, że ta zwierzyna ciągle się zmniejsza w naszym kraju. Otóż ja tego powiedzieć nie mogę, bo na Sznyrowie i w Bondurach padło 259 sztuk, z których ja sam zabiłem 140. Zapewne, że w przeszłym roku padło więcej, bo rok był wilgotny, ale i w tym roku był dobry ciąg od 26. lipca do 1. sierpnia. We dwóch zabiliśmy w jednym dniu 43 dubelty, a wystrzelawszy sto ładunków i nie mając ich więcej, patrzyliśmy jak suka pięknie stawała, i z piętnaście poszło niestrzelanych. Świadczę się ordynatem Czarkowskim. Hr. Leopold Starzeński przyjechał już później, ciągi nie były już tak dobre, a przecież zabił w paru dniach 38 sztuk. Ostatni raz byłem 12. sierpnia na błotach i jeszcze 15 dubeltów zastaliśmy.

Na kuropatwy zacząłem polować około 20. sierpnia. Zabiłem w Kutkorzu 35, w Lackiem w jednym dniu 19, w Czeremchowicach 12, w Brodach 6 — razem 72 sztuk, i powiem z doświadczenia, że na kuropatwy nietylko trzeba dobrze strzelać ale i dobrego mieć psa, bo polując w kilka strzelb i z kilkoma psami zawsze trzy razy więcej zabijałem, niż wszyscy razem myśliwi.

Może jeszcze parę razy pojadę na kuropatwy, ale dziś się już cieszę na słonki, które za miesiąc być powinny. Jest to mojem zdaniem najpiękniejsze polowanie — naturalnie z nagonką. Wiosną jednakże wolę je niż w jesieni. A co to już o tej wiośnie ponapisywali *pro i contra!* Nie chcę już nawet nic dodawać. Hr. L. Starzeński wyczerpujący zamieścił w „Łowcu" artykuł i myślę, że już raz na zawsze głosy przeciwne umilkną. A cóżbyśmy starzy robili, gdyby nam zakazano na wiosnę słonki strzelać? To jeszcze dla starego najprzystępniejsze polowanie, bo to na „tiro" mosanie, więc i najmilsze! Dodam tu, że przynajmniej trzecią część kuropatw zabiłem na „tiro", gonione w remizach.

Myślę, że ze wszystkich ludzi na świecie, myśliwemu najprędzej czas mija. Ot, chwila jeszcze, a znowu św. Hubert i pierwsze polowanie kniejowe w Korsowie — a ładne! W przeszłym roku padł dzik, 5 rogaczy, 36 zajęcy i 2 lisy. Potem Lisowice, Wysuczka — rozkoszna i pyszna w swoją zwierzynę Germakówka, bo to w paru dniach i sześć strzelb zabiliśmy przeszłej zimy 4 dziki, do 20 rogaczy, 1 lisa i więcej jak 300 zajęcy, choć bez uszczerbku można było i 600 szaraków zabić. W graniczącej z Germakówką Wysuczce także taka ilość zwierzyny padła. A to nieprzejrzane morze śniegu i szybka jazda rysakami przez ogromne przestrzenie podolskie, potem zaś ciepły i gościnny dom... Bodajto polowanie!

M. hr. Tyszkiewicz.

Staresioło d. 5. września.

(Sprawozdanie łowieckie.)

Jakkolwiek tegoroczna zima zdziesiątkowała nam zwierzynę pożyteczną, a szczególnie sarny, przecie dzięki temu, że wiosna była nader sprzyjającą dla lęgu, zobaczyć można więcej młodych zajęcy niż zwykle.

To też przy naszem troskliwem staraniu i regularnem hodowaniu pożytecznej zwierzyny, mielibyśmy wkrótce świetne rezultaty na głównych polowaniach, gdyby nie kłusownictwo, które zamiast upadać, coraz więcej wzmaga się. I nic dziwnego, że do tego stopnia się rozwinęło, bo cóż się takiemu kłusownikowi za ubicie sarny lub innej zwierzyny stanie? Posiedzi najwięcej 14 dni w areszcie i utraci strzelbę, której wartość 2 zł. nie przenosi, jeśli zaś na gorącym uczynku złapanym nie zostanie, otrzyma karę najwięcej trzech dni aresztu, z której się śmieje i dalej rzemiosłem swem się trudni.

Szkodliwą zwierzynę, za którą strzałowe wypłacane bywa, tępimy pilnie. Strzelamy również wałęsające się psy, jednakowoż tylko wtenczas, gdy takowe same po polach lub lasach uganiają. Jest jednakże i takich psów dużo, które przy ludziach w polu zatrudnionych się kręcą, a te trudno z pod nóg strzelać; powstałyby ztąd rozliczne awantury, których nam unikać wypada. Wprawdzie mają wszystkie gminy nakaz, ażeby psy w domu na uwięzi trzymano, ale jak zwykle tak i w tym wypadku nie zważają wieśniacy na otrzymane polecenia, lecz i po dwa psy ze sobą w pole biorą. Czego zaś psy i koty nie wyłapią, to tępią częstokroć sami włościanie. W zeszłym tygodniu odebraliśmy od dwóch gospodarzy po 2 zajączki, a od trzech innych po jednemu, o czem starostwo zawiadomiono. Trafia się często, że i jaja kuropatwie niszczą. Złapaliśmy np. szkodnika, który 14 jaj z pod kuropatwy wybrał i takowe zniszczył. Sąd Bobrecki skazał go na 14 dni aresztu.

Zdawało się, iż tego roku nie będziemy mieli całkiem kuropatw, a tymczasem pokazuje się więcej stadek, niż po inne lata. U nas przyczyniło się do tego niewątpliwie wytępienie jastrzębi kokoszników, wybiliśmy ich bowiem sporą ilość, tak dalece, że trudno się już z tymi rabusiami spotkać.

Sarn dużo wprawdzie wyginęło, a nawet jeszcze teraz chore znajdujemy, ale przecież mam nadzieję, że tegoroczny lęg w dwójnasób nam utratę zimową wynagrodzi, znajdują się bowiem kozy, które mają po dwoje, a widziano nawet takie, które po troje młodych ze sobą wodzą. Jedno z tych trojga jest słabsze, lecz dobrze już umyka. Dzików jak na nasze lasy mamy nie wiele. Zdaje się, że u nas pozostaną, a jest zresztą nadzieja, że z dalszych stron nadciągną, gdyż bukiew a miejscami żołądź obrodziła.

Dubeltów pomimo posuchy było tego roku u nas więcej niż zwykle, zato innego ptactwa błotnego bardzo mało. Przepiórek więcej niż w zeszłym roku.

Wilhelm Beer.

Lwów d. 11. września.

(W interesie prawdy.)

We wrześniowym numerze „Łowca“ wyczytałem barwny opis polowania z jamnikami na lisy i borsuki, podpisany literami *J. H.* Artykuł ten objaśnił mnie w teoryi o tem, co po raz pierwszy w życiu (jak to w mym artykuliku z lutego br. nadmieniłem) widziałem w praktyce. Nie poluję z jamnikami, nie znam się dobrze na tego rodzaju polowaniu, spisałem tylko to, co na własne oczy widziałem, wobec innych jeszcze świadków. Przeczytawszy artykuł pana J. H. zdziwiłem się tylko, jak można stanowczo, nie znając ubocznych okoliczności, powątpiewać o czemkolwiek. Ponieważ w takim razie wyjaśnianie w „Łowcu“ tych okoliczności byłoby zbyt długiem a do celu nieprowadzącem — ośmielam się zaprosić pana J. H. (który, jak z opisu poznałem, jest znakomitym znawcą jamników i polowania z nimi) w imieniu pana leśniczego Bi... do Biłohorszczy, aby obaczył na własne oczy to, co ja widziałem, aby poznał owego niemieckiego źrebca... chciałem powiedzieć wyżła, owe widełki, a nadewszystko, abym ja miał przyjemność przedstawienia się panu J. H. i usłyszenia z ust szanownego oponenta złagodzenie jego powątpiewań. Wprawdzie jeden z piesków pana leśniczego został ukradzionym niedawno, lecz może pan H. będzie łaskaw wziąć z sobą jednego ze swoich piesków do pary, a będziemy mieli tragedyą... bardze dla nas zabawną.

L. G. Dziubiński.

Mondzielówka d. 6. września.

(Kot w żelazie.)

Tego roku na wiosnę, chcąc ochronić kuropatwę i zające przed rabusiami powietrznymi, ustawiłem kilkanaście żelaz na wysokich trzymetrowych słupach, w które się też sporo jastrzebi nałapało; nawet przemądre gołębiarze padały ofiarą podstępu ludzkiego. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy mi raz ekonom przyniósł ogromnego kota zdziczałego, który się złapał za przednią łapę w żelazko, na tak wysokim słupku nastawione. Zagadkę tę rozwiązać mi trudno; rabuś chciał się widocznie zabawić w astronoma, lub być może, zaatakowany przez lisa, szukał na słupku schronienia. Niezwykły ten wypadek miał i swą komiczną stronę, bo zuchwalec, choć ujęty, widząc się na wysokościach, prawicą czy lewicą (nie wiem, którą w tej kolizyi dysponował) wymierzył raz potężny spokojnemu rolnikowi, który jadąc na koniu, podniósł się w jego regiony; miał jednak i i tę tragiczną stronę, że harap ekonoma oddał mu to z procentami. *Józef Krzysztofowicz.*

Kimirz d. 10. września.

(Stan sarn.)

Stan sarn w tym roku bardzo zły w okolicy naszej. Wiem to z doświadczenia, zaczerpniętego w lasach, których jestem nadzorcą. Niemniej często komunikując się z leśniczymi ordynacyi hr. Potockich, i innymi, dowiedziałem się, że i w tamtejszych rewirach stan sarn wcale nie świetny. Przyrost w młodzieży bardzo mały. Czemu to przypisać? A już nader groźnej i śnieżnej zimie tegorocznej. Mimo obfitości podawanej koniczyny, siana, owsa w snopach, sarny wyszły mocno zbiedzone. Jak wiadomo, zawieruchy śniegowe, począwszy od 22. grudnia 1887 r., z małemi przerwami trwały aż do lutego. Cóż więc pomogły „tryzubki“ daszkami pokryte, skoro je zawierucha, po każdem odgarnięciu, napowrót śniegami zawiała. W lasach ordynackich w tej mierze wzorowy panuje porządek. Leśniczowie z obowiązku służby i zamiłowania obficie podają żer. My inni chętnie ich w tem naśladujemy. Nic to jednak nie polepszyło doli sarn; wyszły z zimy mocno zchudzone. Jestem niemal pewny, że wiele kotnych siut nie donosiło płodu, a wszystko to z braku sił fizycznych, spowodowanych głodem. Gorszy jeszcze na sarnach mego rewiru stan postrzegłem. Kilkakrotnie cicho stąpając zbliska, podszedłem stadka i wyraźnie słyszałem, jak niektóre mocno, przytem jak mówią sucho kaszlały. Sąż to motylice, czy choroba płuc? Kwestya, o której rozwiązanie uniżenie upraszam. Motylice, śmię twierdzić, tylko w mokre lata u sarn a nawet zajęcy pojawiać się zwykły. A ten rok więcej suchym niż mokrym był przecie. Skoro nadejdzie właściwa pora polowania na sarny, każdą ubitą sztukę otworzę i przekonam się, czy kaszel ów pochodzi z przyczyny choroby płuc, czy wątroby, co się motylicą nazywa. O wyniku będę miał zaszczyt szanowną Redakcyę „Łowca“ zawiadomić.

H. Sozański, leśniczy.

Z pod Bełza 15. września.

(Widoki jesiennego polowania.)

Okolica, w której mieszkam, opolna. O kilka mil czarnieją lasy, rodzajem wieńca nas otaczając. Na cóż więc polować? Na kuropatwy, których dość sporo, czy przepiórki — a dodam, że bardzo mało ich w tym roku — lub sarny, jeśli która łowami z lasów wypłoszona w której z remiz zawita. Ja przeważnie poluję na zające i lisy z chartami. Lisów kilka gniazd tu i tam się wywiodło, a zajęcy — niemal co krok to „kopyra“. Pełen tęsknoty czekam św. Michała, by módz wyruszyć na łów z chartami — no! i ze strzelbiną. W przeszłym roku ubiłem 3 kozły, w niewielkiej remizie. W tym roku wątpię, żeby mi się to udało. Bo, jak mówią wogóle sąsiedzi, sarn u nich obecnie mało. Wszyscy twierdzą, że ciężka zima je wytępiła i zdziesiątkowały wilki, stadami z Kongresówki do nas na rozbój wpadające. Przeszłemi laty tępił tych rabusiów szanowny właściciel Warężca, w tym roku niestety, ogabnięty chorobą, nie mógł tego uczynić. Dla tego też: „nie ma kota, myszy na stół“, jak mówi przysłowie. A pan K... jakkolwiek słynny myśliwy i zapalony tępiciel wilków, samowtór rozległej okolicy nie obroni. Na moczarnych łąkach Głuchowa, Witkowa, Woronowa, Ostobuża i Staj, mnóstwo w tym roku było i jest jeszcze błotnego i wodnego ptactwa.

W. P. Z.

Bajkowce d. 23. września.

(Z polowania.)

Dnia 22. b. m. w olszynie dziesięcio-morgowej, nisko położonej, podzielonej na cztery mioty, ubiliśmy z sąsiadem moim Alfredem hr. Borkowskim w sześć strzelb w trzech godzinach 22 słonek i 2 lisy. Każden miot brany był kilka razy.

Maryan Maniewski.

Z pod Perehińska d. 24. września.

(Arcyksiążę Rudolf na polowaniu.)

Olbrzymie knieje górskie w Jasieniu i Perehińsku gościły w tych dniach bardzo dostojnego i wsławionego myśliwca, następcę tronu, arcyksięcia Rudolfa. Kompleks lasów perehińskich należy jak wiadomo do stołowych dóbr ordynaryatu metropolitalnego lwowskiego, a sąsiaduje z wielkiemi lasami kameralnemi. Prawo polowania w tych lasach dzierżawi hr. Artur Potocki. Jakoż na dawniejszą już inwitacyę hr. Potockiego, przybył arcyksiążę we wtorek d. 18. b. m. wieczorem do stacyi kolei państwowej w Krechowicach i przed północą stanął główną kwaterą w pałacyku myśliwskim hr. Artura Potockiego w Kuźmińcu. Arcyksięciu towarzyszył hr. Artur Potocki, adjutant hr. Rosenberg-Orsini oraz dwóch przybocznych strzelców i dwóch kamerdynerów.

Przed powozem, wiozącym arcyksięcia od stacyi, jechało konno dwóch bojków ze smolnemi pochodniami w ręku — choć zbytecznem było to światło wobec księżyca, zalewającego strumieniami srebrzystego światła ciemne knieje górskie. Pogoda była przecudna, noc prawdziwie urocza — konie mknęły jak strzała — i po trzechgodzinnej jeździe przebył powóz przestrzeń 40 kilometrów, dzielącą Kuźminiec od stacyi kolejowej.

Po wieczerzy i krótkim spoczynku wyruszył arcyksiążę już przed godziną 4. rano na rykowisko jelenie w kniei „Todor“, lecz stracono dzień na próżno. Z powodu niezwykłego pod tę porę ciepła i pogody, ryczały jelenie o wiele mniej niż zwykle. To też pomimo podchodzenia gromadki jeleni, złożonej z siedmiu sztuk, i chociaż słyszano jedenaście jeleni ryczących, nie przyszedł arcyksiążę pierwszego dnia wcale do strzału.

Teren skalisty, w wielu miejscach przecięty do nieprzebycia głębokiemi potokami górskiemi, uniemożliwiał podejście zwierza na odległość strzału.

Wieczorem tego dnia odbyła się w pałacyku kolacya, przy której przygrywała słynna cygańska muzyka Farkasza Miszki, którą z Raab sprowadzono.

Następny dopiero dzień, t. j. czwartek d. 20. b. m. okazał się pomyślniejszym dniem łowów. Drużyna myśliwska, do której należeli hr. Roman Potocki, ks. Lichtenstein i hr. St. Zamoyski, wybrała się przed godz. 4. do rewiru „Jasień“ ku rykowiskom, na wyższych szczytach położonym. Płajami, oświeconemi jeszcze wspaniale chylącym się ku zachodowi księżycem, postępował arcyksiążę, przysłuchując się echom pierwszych wzdychań zaledwie co z pościeli mchów powstałych jeleni, których około 100 w tem miejscu stanęło do współzawodnictwa. Tutaj ubił arcyksiążę pięknego jelenia, dwunastaka, a widział innego nadzwyczajnej wielkości. Noc z czwartku na piątek przepędził arcyksiążę w kolebie, umyślnie na ten cel urządzonej, na szczycie zwanym Małahowczyk.

W piątek d. 21. b. m., wyruszywszy przed świtem ku rykowiskom, ubił arcyksiążę drugiego jelenia. Był to znowu piękny dwunastak. Z pomiędzy uczestników polowania nie przyszedł nikt inny do strzału. Drużynie myśliwskiej towarzyszył znany artyska-malarz Adjukiewicz i zdjął kilka szkiców i fotografij minutowych z najważniejszych epizodów polowania.

W piątek po południu opuścił arcyksiążę Podlute, a w ciągu tej podróży powrotnej spotykały go bezustanne owacye miejscowej ludności. Za Perehińskiem wystawiono na prędce łuk tryumfalny i zebrało się tu około 2000 ludzi, przeważnie włościan płci obojej, którzy w swoich malowniczych siermięgach i kożuszkach przepyszny przedstawiali widok. Arcyksiążę, zbliżywszy się do łuku, wysiadł, rozmawiał łaskawie z reprezentantami władzy, z duchowieństwem i z wójtem Ceniawskim. Arcyksięciu towarzyszył hr. Artur Potocki. O godz. 5. stanął arcyksiążę na stacyi kolejowej w Krechowicach i udał się ztamtąd wprost do Wiednia.

Podczas wycieczek myśliwskich, miał na sobie arcyksiążę malowniczy strój górali styryjskich: ciżmy z kamaszami po pończochach, zwieszających się poniżej kolan, oraz dolne ubranie skórzane, niedochodzące do kolan, które były odkryte. Przez cały też czas utrudzających łowów zachował arcyksiążę jak najlepszy, prawdziwie myśliwski humor. Do olbrzymiego jelenia, którego sam nazwał „potworem“ *(Ungethüm)*, nie strzelał wcale, choć miał wspaniałe zwierzę przed sobą na 25 kroków, a to dlatego, aby wbrew zasadzie myśliwskiej nie dać wątpliwego strzału na tył zwierzęcia, prawidłowy zaś strzał „na komorę“ był niemożliwym z powodu przesuwania się jelenia po za grubemi drzewami.

Na odjezdnem polecił arcyksiążę hr. Rosenbergowi doręczyć jego imieniem kosztowne upominki miejscowym leśniczym, z których dwaj otrzymali szpilki brylantowe z inicyałami cesarzewicza, a trzej takież spinki do mankietów.

W czasie pobytu arcyksięcia w kniejach, przenosił drut telegraficzny liczne depesze między Perehińskiem a Laxenburgiem. Pomiędzy innemi otrzymał arcyksiążę zaproszenie na łowy do hr. Festeticsa na Węgrzech. W zaproszeniu była wiadomość, że w jednym z rewirów górskich dóbr hr. Festeticsa wytropiono wspaniałe niedźwiedzie.

L.

KRONIKA.

Arcyksiążę Rudolf polował w ciągu miesiąca sierpnia dwa dni w rewirach Eckartsau i Witzelsdorf około Orth nad Dunajem. Jako gość towarzyszył arcyksięciu hr. Bela Széchény. Arcyksiążę ubił w ciągu tego polowania 1 jelenia szóstaka, 1 szpiczaka i 7 rogaczy; hr. Szechény zaś zastrzelił 1 jelenia ósmaka.

O Pustynniku nie mamy z kraju już od kilku tygodni żadnych wiadomości, a przecież przypuścić należy, że pozostałe pojedyncze stadka gnieździły się tu i owdzie i wywiodły młode, i że przy polowaniach na kuropatwy musiały się także pustynniki myśliwcom trafiać. O wszelkie szczegóły w tej mierze upraszamy naszych czytelników.

W Niemczech gromadzi się coraz więcej dat o stałem osiedleniu się i gnieżdżeniu pustynnika. I tak z Augsburga doniesiono pod dniem 27. sierpnia, że w okolicy tamtejszej zauważano 10 gnieżdżących się parek. W Hanstädten mianowicie wywiodła samica z gniazda liczącego 7 jaj, sześcioro młodych, w innych zaś miejscach spotykano po pięcioro aż do siedmiorga młodych przy jednej parze. Rzecz szczególna, że we wszystkich niemal relacyach jest mowa o większej ilości jaj niż cztery, jak to dotychczas ornitologowie za regułę podawali. Czyż miałoby lato w Europie sprzyjać większej płodności pustynnika?

Ze Szlązka pruskiego doniesiono dnia 7. września, że w okolicy Nimptsch utrzymuje się stale stadko, złożone z mniej więcej 25 sztuk.

Oswoiły się one o tyle z miejscowością, że straciły pierwotną płochość i dadzą się dość blisko podejść.

W Magdeburskiem stowarzyszeniu botanicznem badano nasiona, znalezione w wolach kilku pustynników, ubitych w okolicy Neuhaldensleben. Nasiona te zasiano w miejskim ogrodzie botanicznym w ziemi bardzo piasczystej i doczekano się wielu roślinek, które się okazały wyłącznie roślinami trawiastemi. Jest tam owies, jest gatunek prosa dzikiego *(Panicum filiforme)* i dwa gatunki szczeciny *(Setaria viridis* i *Setaria glauca)*.

Czy pustynnik zdoła się wyżywić w zimie, czy młode pokolenie przebędzie zbliżające się miesiące zimowe? — oto pytanie, którem się teraz bardzo żywo zajmują ornitologowie i myśliwcy niemieccy.

Z wyspy Texel, gdzie się liczne stadka pustynnika osiedliły, donoszą o szczególniejszem spostrzeżeniu. Wiele pustynników dało się tam rękami schwytać,, a to dlatego, że je niszczył i osłabił pewien rodzaj owadu, nie opisany bliżej chrząszczyk czy kliszcz, który szczególniej przyczepia się do głowy i szyi ptaka. Wpływa to tak odurzająco i ogłupiająco na pustynnika, że daje się łatwo pochwycić.

Nadworny urząd łowczy pruski zestawia za sezon 1887—88 następujący wykaz zwierzyny, ubitej na królewskich terenach myśliwskich: 124 jeleni, 406 szpiczaków i łań, 2491 danieli, 710 dzików, 191 sarn, 1926 bażantów, 4341 zajęcy, 2822 kuropatw, 454 dzikich gęsi, kaczek i słonek, 255 czapli i kormoranów, 285 lisów, 54 kun, 153 tchórzów, 224 łasic, 756 ptaków drapieżnych, 1821 rozmaitych innych, tj. razem 17012 sztuk zwierzyny.

Dzikie gęsi pojawiły się tego roku w niezmiernej ilości w dolinie Sacramento w Kalifornii. Stada ich liczyły po kilkakroć sto tysięcy sztuk, a gdy spadły na ziemię, obsiadały przestrzeń około dwudziestu hektarów. Pola obsiane pszenicą ucierpiały też wiele, a farmerowie byli zmuszeni stawiać straż i bronić się rozmaitemi sposobami od napadów gęgającego nieprzyjaciela.

Hodowla strusiów. Hodowla strusiów w południowej Kalifornii z dniem każdym staje się korzystniejszą, coraz też większe przybiera rozmiary. Przeciętny dochód z piór jednego ptaka wynosi 300 dolarów. Co siedm miesięcy około 50 wielkich piór otrzymuje się ze skrzydeł, i około 12 uncyj piór z reszty ciała. Ogród Washington'a w Los Anglas zawiera wielkie stado strusiów, a ptaki te rozwijają się tam nader korzystnie.

Z wycieczki naukowej, podjętej w ostatnich dniach sierpnia b. r. profesor IV. gimnazyum lwowskiego, pan Maryan Łomnicki, przywiózł bardzo cenne i niezwykłe wykopaliska. Bawiąc w Mełnie, w powiecie rohatyńskim, wydobył on z piasku dyluwialnego, pod wiszarem skały, z której wyrabiano kamienie młyńskie, bardzo dobrze zachowane części szkieletów, należących do 5 niedźwiedzi jaskiniowych, tudzież zęby współcześnie żyjącej hyeny jaskiniowej. Z tego samego miejsca, przed 8 laty, przywiózł pan Łomnicki całą głowę niedźwiedzia jaskiniowego i dwie czaszki hyeny jaskiniowej, znane wszystkim miłośnikom przyrody, zwiedzającym muzeum przyrodnicze JE. Włodzimierza Dzieduszyckiego, gdzie od długiego cząsu są złożone. Co do szkieletów niedźwiedzi jaskiniowych, znalazł nasz przyrodnik w Mełnie kręgi, żebra, kości udowe, piszczele itd., szczególnie szczęki dolne z zębami i kręgi pacierzowe są wybornie zachowane. Równie dobrze jest zachowany jeden ząb tnący z odłamkiem szczęki, należący do hyeny jaskiniowej. Podobne szkielety, ale nierównie gorzej zachowane, znaleziono dawniej w grocie magórzańskiej w Zakopanem i w Ojcowie. W Mełnie, przy łamaniu kamieni, znajdowano dawniej więcej podobnych kości, ale robotnicy miejscowi i arendarze, eksploatujący kamień, uważając te kości za szkielety wielkoludów, odrzucili je i przysypali gruzem. Szczęki dolne niedźwiedzia jaskiniowego, znalezione obecnie przez pana Łomnickiego, są prawie dwa razy tak wielkie, jak niedźwiedzia obecnie żyjącego. Cenne te wykopaliska złożył pan Łomnicki w muzeum imienia Dzieduszyckich.

Krokodyle w Elbie (patrz nr. 9. „Łowca") okazały się przecież w znacznej części tem, o cośmy je pierwotnie podejrzywali, t. j. — kaczką dziennikarską. Że jednak sławetna policya hamburska dała się na tę kaczkę złapać i wydała przestrzegającą odezwę do kąpiących się, więc świat dalszy tem bardziej uwierzył puszczonej w kurs wieści. W istocie rzecz się tak miała, że kapitan Frey przywiózł na parowcu „City of London" dla różnych zakładów zoologicznych i menażeryi aż 37 żyjących krokodyli do Hamburga. W drodze zdechło mu pięć czy sześć tych bestyj, i te wrzucono do morza. Resztę żywych krokodyli sprzedał dwom handlarzom zwierząt, a gdy ci umówioną kwotę wypłacali, wymknął się z okrętu jeden krokodyl z zagrody, lecz został napowrót schwytany. Otóż wypadek ten, przechodząc z ust do ust, rósł coraz bardziej i w końcu zaalarmował policyę hamburską.

Chomik stał się w ciągu kilku lat nadzwyczajną klęską rolniczą w okolicy Aschersleben w Niemczech. Ogromne sumy poświęcono już na wytępienie tego szkodliwego gryzonia i — nadaremnie. Całemi tysiącami chwytano go w ostatnich latach — czasem po 100.000 sztuk naraz, i przecież nie wpłynęło to na zmniejszenie się liczby chomików w tamtej okolicy. Miasto Aschersleben ustanowiło osobnych „Hamsterfängerów", a ci b. roku, w krótkim stosunkowo czasie od 30. kwietnia do 23. czerwca, złowili 23080 sztuk, tj. niemal dwa razy tyle co przeszłego roku o tej samej porze. Łatwe rozmnażanie się chomika tłómaczy się jego płodnością, samica bowiem rzuca dwa razy do roku po 4 aż do 13 i 16 młodych. Jakie zaś okropne zniszczenie wyrządzają chomiki na łanach zbożem obsianych, dość powiedzieć, że jeden chomik znosi na zapas zimowy do swej nory około 15 do 20 klgr. najcelniejszego ziarna.

O świstaku jako drapieżcy czytamy w jednem z pism myśliwskich co następuje: Dzieci pewnego ogrodnika w Versoix w Szwajcaryi dostały ubiegłej zimy pogrążonego w śnie zimowym świstaka. Umieściły go w stajence, zrobiwszy mu stosowną zagrodę. Gdy się ociepliło, zbudził się świstak i stał się wkrótce bardzo łaskawym. Podawano mu buraki, kapustę, chwasty rozmaite i przyzwyczaił się do tej strawy. Lecz pewnego wieczora zasłyszano alarmujące gdakanie kwok, umieszczonych w kurniku ponad stajenką i przekonano się, że powodem alarmu był świstak. Sprzykrzył mu się widocznie wikt wegetaryański, przecisnął się przez szczeble do kurnika i zagryzł już czworo kurcząt. Zamknięto świstaka lepiej, ażeby udaremnić krwawe jego ekskursye, lecz nadaremnie, gdyż jeszcze raz tejże samej nocy się wyłamał i znowu kilkoro kurcząt uśmiercił. Nie pozostało nic innego, jak całkiem gdzieindziej go przesiedlić.

Trucie lisów. Z podanej w *Waidmanns-Heil* relacyi rządowego leśniczego Dreschera, który zajmował się wiele tępieniem lisów za pomocą trutki, i rozmaitych próbował witerunków, podajemy następujące skazówki: „Najwięcej lisów oraz kilka kun udało mi się wziąć na zatrute myszy i ptaszki. Zatruwanie tych przynęt przedsiębrałem w ten sposób, żem zacinał je scyzorykiem przy końcu mostka piersiowego, a wyciągnąwszy wnętrzności, wsypywał dawkę sproszkowanej strychniny i zakładał wnętrzności tak, że prawie znaku nie pozostawało. Przynętę z mięsa przyrządzam w ten sposób, że biorę kawałek mięsa bez kości, mniej więcej w objętości 3 centymetrów sześciennych, wycinam z niego małą cząstkę w kształcie stożka, a uciąwszy wierzchołek tego stożka, i wsypawszy strychninę w zrobiony w mięsie otwór, zakładam go napowrót wykrojonym stożkiem tak, że cięcia prawie rozpoznać nie można. Po spożyciu takiej przynęty lis pada na miejscu, czasem zaś ujdzie jeszcze 40 do 100 kroków. Kawałkami zatrutego śledzia nie osiągałem żadnego celu. Z trzech zatrutych lisów, które mi tej zimy śnieg zawiał, pożarły część pewną inne lisy. Trafiało mi się to i dawniej, że zwłoki lisów potrutych rozszarpywały i unosiły inne lisy, nie trując się niemi wcale. Pewnego razu, przyszedłszy do miejsca, gdzie była rozrzucona trutka, spostrzegłem na świeżem śniegu trop lisa ku młodemu zapustowi leśnemu. Poszedłem za tropem i ujrzałem, że lis ten odgrzebał zawianego już śniegiem zatrutego towarzysza swego, a rozszarpawszy go i wyrzuciwszy zeń żołądek i wnętrzności, zawlókł resztę na odległość około 500 kroków i zakopał w śniegu. Wydobyłem te zwłoki, mocno już nadjedzone, a że nie miałem przy sobie strychniny, aby je zatruć, powiesiłem je natychmiast na sosnie w dwumetrowej wysokości nad ziemią. Nazajutrz, wziąwszy ze sobą dwa proszki strychniny, poszedłem, aby je zatruć. Przyszedłszy, znalazłem miejsce pod sosną formalnie stratowane; lis, który już część pieczeni z swego towarzysza pożarł, chciał dostać i resztę, lecz mu się to nie udało; poszedł zatem na to miejsce, gdzie go rozszarpywał, i zjadł porzucone pierwotnie wnętrzności. Śledziłem trop tego śmiałka niemal na 1000 kroków, lecz go nie znalazłem; widocznie żołądek i wnętrzności zatrutego lisa nie zaszkodziły mu wcale."

Konie arabskie. Nowocześni Arabowie posiadają trzy rasy koni: atterbi, kadiszi i kohlani. Atterbi i kadiszi, są to zwykłe konie robocze, zaś kohlani są końmi arabskimi czystej krwi i one to stanowią sławę Arabów, którzy cenią je wyżej, niż pieniądze, niż majątek nieruchomy. Stworzyli nawet legendę o powstaniu rasy tych szlachetnych koni, która, jak wiele z powieści arabskich, sięga czasów Mahometa a wielki prorok odgrywa w niej główną rolę. Oto historya powstania rasy koni kohlani: Mahomet staczał raz walkę zaciętą przez trzy dni i trzy noce; przez cały ten czas wierna drużyna proroka nie zsiadała z koni,

które zatem ani jadły ani piły. Dopiero w czwartym dniu dostał się Mahomet z towarzyszami nad rzekę. Wielki prorok, pokonawszy nieprzyjaciół i nie obawiając się ataku, polecił towarzyszom konie napoić i puścić wolno na pastwisko. Spragnione zwierzęta, a było ich 20 tysięcy, pobiegły do rzeki i już stały nad jej brzegiem, gdy naraz rozległ się głos trąbki proroka. Dwadzieścia tysięcy koni słyszało ten głos przywołujący je do proroka, lecz tylko pięć go usłuchało i nie skosztowawszy wody pobiegło pod sztandary. Mahomet pobłogosławił te klacze i poczernił ich brwi. Ztąd powstała ich nazwa, „kohlani“ bowiem znaczy poczerniony. Od tej chwili na klaczach owych jeździł tylko wielki prorok i jego towarzysze Ali, Omar, Abu-Bekr i Hassan. Od klaczy tych pochodzą wszystkie szlachetne konie arabskie. Tyle legenda. Przyrodnicy zaś twierdzą, że w uszlachetnieniu tej rasy koni mają niemałą zasługę beduini, którzy dbają wielce o zachowanie czystości ich krwi, obchodzą się z niemi bardzo łagodnie, starają się o ich wygodę i przywiązani są do nich tak dalece, że uważają je niemal za członków rodziny. Klacz beduina — ogiera nie używa on nigdy do jazdy — jest bardzo bystrą i jak pies wierną, a tak inteligentną, że pana swego budzi, gdy mu jakiekolwiek niebezpieczeństwo grozi. Arabowie cenią też konie te bardzo i niechętnie ich się pozbywają, co więcej, sami płacą bardzo drogo, bo nieraz aż do 4 tysięcy franków, byle tylko nie dopuścić do sprzedaży ich cudzoziemcom. Ztąd kupić klacz arabską jest nader trudno. Jeżeli zaś uda się to komu, to chyba za sumę bardzo znaczną, sięgającą 10 tysięcy fr. a nawet i więcej. Podróżnik niemiecki, Burckhard, opowiada, że widział, jak szeik jakiś za połowę prawa własności jakiejś sławnej klaczy zapłacił 8 tysięcy fr. W naszych stosunkach dziwną się musi wydać rzeczą kupowanie połowy prawa własności konia; w Arabii wypadki takie są bardzo częste, a zdarza się nawet niekiedy, że jedna klacz rasy szlachetnej należy jednocześnie do kilku Arabów.

Najmniejszy na świecie konik był przedmiotem podziwu mieszkańców Nowego Jorku. Ważył on tylko 73 angielskich funtów, t. j. około 33 kilogramów, jest na 87 centymetrów wysokim, ma cztery lata, należy do rasy „Ponny“ i pochodzi z Jokahamy.

Jak długo może żyć koń? *Militär Ztg.* opowiada następujący ciekawy przykład długowieczności konia. W hanowerskiej kawaleryi po kampanii z Francyą było kilka pysznych biegunów angielskich, z których jeden przyprowadzony został do pułku dragonów r. 1793. Koń ten, używany we wszystkich następnych kampaniach w Hiszpanii i Portugalii (przez lat 7), przyjmował też udział w sławnej bitwie pod Waterloo. W r. 1816. ten sam rumak oddany został do pułku huzarów, w którym przebył do r. 1847. Długoletnia służba nie nadwerężyła wcale jego sił, był on zupełnie jeszcze zdrów, lecz rząd pragnąc go nagrodzić za trudy, polecił wycofać go z pułku i pozostawić na łaskawym chlebie. Dopiero w r. 1850. padł ten wysłużony weteran, dożywszy blisko 60 lat wieku. Oficerowie huzarskiego pułku kazali wyryć na deszczułce nazwisko jego, i wywiesili ją nad odwachem dla uczczenia pamięci sławnego w pułku konia. Deszczułka ta zaginęła dopiero po wojnie w r. 1866.

Przesiedlenie węgorzy. Niemiecki „*Fischerei-Verein*“ zrobił w przeszłym roku próbę z przesiedleniem węgorza do Dunaju, gdzie, jak wiadomo, nie było go dotychczas. Zarybek wzięto z zachodnich wybrzeży Szlezwiku, gdzie węgorza w niezliczonych ilościach chwytają. Otóż próba rzeczona powieść się miała wyśmienicie i zachęciła do dalszego zarybiania Dunaju węgorzami. W pierwszej połowie września wysłano znowu z Altony pół miliona młodych węgorzy pod adresem pewnego konsorcyum rybackiego, które ma swoją siedzibę w Gałaczu. Wyprawie tej towarzyszył specyalny dozorca, a cały transport doszedł znakomicie na miejsce przeznaczenia i został do zarybienia użytym.

Kot czy zając? Zaledwie wyświęcony na księdza — tak opowiadał ks. W. — wybrałem się na wikarye do wsi G.. w Tarnopolskiem. Była owego roku ciężka zima i zawalna. Jadąc z Tarnopola, tak przemarzłem, żem część drogi musiał przejść *per pedes apostolorum*, aby członki rozgrzać. Wieś a z nią i plebanię, literalnie śniegi zawiały, jak zwykle na bezleśnem Podolu. Proboszcz głuchy i na pół kaleka, lecz dobry starowina, przyjął mnie uprzejmie i zainstalowałem się jakoś na tej mojej pierwszej posadzie.

Na tydzień przed Świętami Bożego Narodzenia mówi do mnie proboszcz — a był to człek dawnej daty, więc tytułował mnie przez „waść“:

— No, tego to daj go dziadu (takie miał przysłowie), dobrze by było, żeby się waść przedstawił znaczniejszym parafianom w okolicy. Tedy to, ponieważ pora rozwozić opłatki, dobrze by było, żebyś ksiądz *in sua persona* rozwiózł po okolicy opłatki — bo to organista pius — o pius tego to daj go dziadu, sam jadąc najczęściej narobi mi galimatyi.

Projekt był dobry — przystałem. Sporo paczek opłatków, powiązanych opaskami z złotego papieru w małe paczki, włożono w skrzynkę, kładąc ją na sanie w poprzek w miejsce koziołka, który odjęto.

— A umie waść powozić końmi, bo organista tego to wozi po łacinie.

— Umię — odpowiadam.

— No, to dobrze; woźnicy wam nie dam, bo to „załubeńki“ (tak zwą na Podolu sanie, gdy lepsze cokolwiek niż chłopskie), nie miałby gdzie usiąść. Zresztą mój Franciszek chory, bo stary jak ja.

Zaszły przed ganeczek sanie — ciągnęły je dwie duże jasno kościste klacze, maści jasno kasztanowatej o wszystkich po kolana białych nogach, a na czołach z „latarniami“ tj. ogromnych rozmiarów łysinami.

— Tego to — mówi proboszcz, wyprowadzając mnie do sieni — matka z córką, matka z córką, poczciwe stworzenia, obeszły by się nawet bez furmana, tak znają drogę do moich parafian — ale *non licet*... Jedź tedy waszeć *in nomine patri et filii* itd. — I pożegnał mnie krzyżem świętym.

Odziany w ogromną wilczurę białego koloru, którą mi proboszcz na tę podróż pożyczył, tarabanię się na sanki, wpychając nogi pod skrzynkę z opłatkami. Organista nie dał mi ująć furmańskich godeł władzy, bicza i lejców, lecz sam zaciąwszy familię końską, raźnie ruszył z przed ganku. Sanki stuknęły mocno o próg bramy i wyjechaliśmy.

— Najprzód — przemówił organista decydująco, jakby mnie nie było — pojedziemy do Szałpak, do pana Franciszka Skrzyńskiego, bo tam, trzeba księdzu wiedzieć, bardzo mnie nawidzą. Bo to panie i obiadek dobry i „arbata z arakiem“ — dodał mlaszcząc języczkiem.

— Jedźmy — odpowiadam.

Milczałem przez drogę, gdyż nie byłem do gawędy usposobiony, a wreszcie organista mełł językiem bez przestanku i nie dałby mi był przyjść do słowa.

— Choć jegomości nikt tu jeszcze nie zna, to nic; za to mnie zna każdy — dodał chełpliwie — a w końcu najlepsza rekomendacya ot, matka z córką. Któż w okolicy nie wie, że należą do naszego starego, co nie jeden rok już niemi jeździ. Matka liczy lat 20, córka 15, a mądre to, ho! ho!

Podobne rozmowy wiodąc, zjeździliśmy całą niemal okolicę, w tym dworze popasając, w innym nocując. Komu wiadomo, jak nie gęste wsie na Podolu, ten wie także, że gdy tam śniegi zawieją, to błądź mosanie mimo dnia po polach, i nie masz się czem oryentować. Co do mnie, nie miałem obawy zbłądzenia, bo dobrze mówił proboszcz, że matka z córką i o północy trafiłyby do wsi, a osobliwie do dworu.

Jedziemy tedy z powrotem do domu, mając po drodze wstąpić jeszcze do dwu dworów. Funkcyę woźnicy pełnię sam, albowiem organista po kilku szklankach „arbaty“ widział ciągle jakieś zawady po drodze. Do wsi czarniejącej w dali było około pół mili, droga jakkolwiek kopna, odznaczała się kilkoma śladami od kopanic, więc puściwszy lejce klaczom, począłem rozglądać się po polach i wzdłuż drogi.

— A to co? — mówię — widocznie zbłądziliśmy z drogi. Ot tam w dali, w poprzek drogi, sterczy wał jakiś czy mogiła?

— To nie wał księże, to most — odpowiada organista.

— A cóż za most u licha? Wysoki jak szpichlerz.

Był to w istocie most, lecz snadź popsuty, bo go objeżdżano, o czem świadczyły ślady.

Osobna to architektura tych mostów podolskich. Na grzęskiej kałuży kładzie się jakieś dwa najczęściej mocno krzywe drzewa, wierzch pokrywa kilka kłód wierzbowych wraz z gałęziami, na to narzuca się trzy łokcie ziemi, i — most gotowy. Konie drapią się jak na piec, a przy zjeździe spadają też jak z pieca na łeb.

Podjechawszy pod takiego cudaka, przystanąłem, by mu się przypatrzyć. Z wierzchu był dziurawy, spodem zaś, pod owemi tak zwanemi legarami, ciągnął się rodzaj nory lisiej. Wtem trąca mną organista wołając:

— Jegomość, ot tam charty ścigają zająca.

W istocie przodem czesze zając, a za nim, w oddaleniu trzystu kroków, popiera go trójca chartów. Zając był gracz widocznie, kiedy na taką przestrzeń od chartów się odsadził. Widząc to, wyskoczyłem z sanek i wydrapałem się na wierzch wysokiego mostu, aby ztamtąd módz ściganie zająca obserwować. Goniony kopyra, dostawszy się do mostu szusnął pod jego spód. Dobiegły i charty, więc poczynam nawoływać

heco! heco! i zwracam ich uwagę, gdyż po zniknięciu zająca, poczęły rozglądając się w koło patrzeć, czy kot „wykpiwszy“ się, w dali gdzie nie pomyka. Nagle jeden z chartów, stojący po drugiej stronie mostu, pomknął, a organista począł krzyczeć:

— Jegomość, jest, jest, — zaś na charty: — A pójdziesz, a nierusz!

Przyskakują do sani, a organista batem opędza się przed chartami, które obcesem atakują sanki, a względnie skrzynkę z opłatkami. Odpędziwszy z moją pomocą psy, mówi spokojniej:

— Kopyra jak baran... wyskoczywszy z pod mostu i ujrzawszy, że nie ujdzie chartom, wskoczył na sanki i smyk pod skrzynkę. Niech ksiądz siada i nogami od środka przytka, bo ucieczе. Toż się stary ucieszy, gdy mu taką kolędę przywieziemy.

Poczynam tedy sadowić się w wąskich sankach, a w tem nadbieżało czterech myśliwych na zhasanych koniach. Jeden z nich woła:

— Nie widzieliście przypadkiem, w którą stronę wykpił się zając? Aha! — dodał po chwili — to konie proboszcza z G... no i Pijus... Cóż się stało z zającem?

— A jest, proszę jaśnie pana — rzekł organista.

— Jakto jest? Kpisz, czy co?

— Jakem szlachcic — jest, ot tu, w sankach.

— To oddaj bratku rzecz nie swoją, przemówił nie młody już jeździec.

— A jakże oddać, kiedy zając nasz, bo żywy — odpowiedział organista, opowiadając całe zdarzenie.

— To niemożliwe! — zawołali jeźdzcy chórem.

Odezwałem się i ja w krótkości, przedstawiwszy się kim jestem, i dodałem:

— Kiedy opatrzność dziwnym trafem salwowała życie biednego szaraka, zdając go tem samem w opiekę sługi Bożego, przeto nie wydam go na pastwę rączych i bierczych chartów wielce szanownego pana dobrodzieja.

— O, o, a to frant księżyna, chociaż młody — zawołał najstarszy jeździec wesoło — widzę i kpiarz. Nie sądź księże po tym fakcie słynne w okolicy charty moje; poszkapią się niekiedy i ludzie, nawet i święceni, dla czegóżby charty miały być wyjątkiem?

— Nieźle — pomyślałem sobie — cięty szlachcic.

— Ksiądz dobrodziej jedzie do mnie podobno z opłatkami — przemówił grzecznie. — Proszę, proszę, nawet za przewodnika służyć będę.

Jakoż ruszyłem w towarzystwie trzech jeźdzców, bo czwartego z jakiemś cicho danem poleceniem wyprawiono przodem do dworu. Zmrok był już zupełny, gdyśmy stanęli przed dużym dworem. Zaledwie sanki moje i panowie stanęli przed gankiem, z otwartych drzwi sieni wysypał się rój służby, niosącej jarzące świece, i zrobiło się jasno jak we dnie, a za nimi ukazało się kilka pań i panów. W czasie drogi oświadczyłem był panu ... (nazwisko zapomniałem) że tę zwierzynę w tak niezwykły ułowioną sposób, wraz z opłatkami ofiaruję pani domu. Votum to moje pan myśliwy oznajmił wyszłym na ganek gościom. Poczynam wyłazić z sanek — nie sposób; nogi tak moje jak i organisty zbyt głęboko ugrzęzły pod skrzynką, żeby je módz wyciągnąć. Dano więc rozkaz służbie, żeby zdjęła skrzynkę, nas z tych „dybów“ wyzwalając, i ujęła przytem schowanego szaraka. Odstawiają skrzynkę — jest zając — widać grzbiet jego szary. Któryś ze służby chce ująć zwierzę — wtem coś czmychło i — znalazło się na wierzchu mej głowy. Poczynam się miotać, albowiem mimo ciepłej czapki, która zsunęła mi się poniżej oczu, nie widzę, lecz wyraźnie czuję ostre jakieś pazury, grzęznące w mej głowie. Hałas, wrzawa, choralny śmiech, a w końcu szczekanie psów, towarzyszyły całej tej scenie. Wreszcie czuję, że coś gwałtownem szarpnięciem oswobodziło głowę moją od tego niezwykłego zająca. Oswobodziłem się z czapki i patrzę, a charty tuż przy sankach motłoszą się wcale nie z zającem, tylko z dużym, burym, bez ogona kotem. Ja i organista osłupieliśmy na podobną niespodziankę. Wszyscy obecni zachodzili się od śmiechu. Organista, klnąc duszę i ciało, powtarzał, że zając, wymknąwszy się z pod mostu, a dopadnięty przez czarnego charta, nie uchodził w pole, tylko wprost skoczywszy w sanki, schował się pod skrzynkę. A gdzież podział się zając, którego wyraźnie widziałem, jak się krył pod mostem? Certujemy się długo już w pokojach, organistę ponownie wzięto na konfessatę, on bezprzestannie swoje, a ja utrzymuję swoje.

— Rzecz tę sprawdzimy na miejscu — mówi gospodarz domu. — Zaprzęgać do czterech sani — zawołał — dwóch kozaków niech nam świeci kagańcami, pojedziemy ku mostowi i po tropach poznamy, czy kot był pod mostem czy zając. Wszak u diaska poszczuliśmy zająca, ten wykpił się przed chartami pod most włażąc, zkądże w księżych sankach bierze się zdziczały kot?

Kto był z mężczyzn i kilka panien jedziemy ku mostowi. Najprzód przy świetle kagańców szukamy tropu zająca. Jest — wiedzie prosto ku mostowi. Badamy drugą stronę mostu, — gdzie stały sanie moje — jest ślad koci, nie ma zajęczego. Zając nie wyszedł, więc pod mostem być musi. A więc wszystką słomą, jaka była w saniach, zatkaliśmy wierzchną dziurę w moście, oraz i obydwie końcowe, i wróciliśmy do domu. Nazajutrz ponownie *comissionaliter* z dodatkiem chłopów z siekierami i motykami, w celu rozebrania mostu, ruszyliśmy się. Zagaty słomiane nienaruszone, tropy zająca i ów koci znać na śniegu jak wypisał. Rozrzucono nie bez mozołu most. Był zając — to widoczne — bo spory żmyt turzycy zawisł na wystającym chruście pokrycia matowego. Kociej bytności pod mostem ani śladu.

— No — mówi do mnie gospodarz — wie ksiądz, że nie wiem co o tem trzymać.

Wtem przystępuje do nas karbownik dworski, który *ex propria diligentia* towarzyszył tym oględzinom, człowiek już bardzo stary i mówi:

— Uże teper dohadawiem sia, o szczo chodyt. Wam iszło o toho zajacia kota? Bułoż mene spytaty, ja toho samoho merzennyka baczyw bude tomu lit 30, szcze żyły wtedy nebiszczyk tatunio jasnoho pana! Buwiem wtedy szcze pry stajni i chartach. Kłyczyt menia jasnyj pan i skaże: „Hrehory jutro czej świt poidesz z chartami na lisa na wędołku od Jackowoho pola; pewnikiem bude lis.“ Poichawiem — ta szczo, buw łys, ja czi, czi! Piszow Biłyk i Dumna, sediły mekieti na chwosti a ne berut. Ou! szczo takie charty jak hadyny. Ano baczym, łys sune pid ot toj samyj mist. Zliz ja ze sany, nuż kołotyty biczom po dziuri, aż tu jak ne porskne meni i zahladajuczym chartom kotysko do oczej!... Charty piszły za nym, Biłyk ho chopyw, a kit jak ne plune psowy w oczy, taj ponechaw ho — a kit szczez. Zahladaju ja pid mist świtytsia na skriś. Aha! dumaju sobi, łys perekienuw sia w kota, o! bo to neczystyj.

— A czemuż tego nieczystego „Ścigaj“ udusił i to przed gankiem — mówi gospodarz domu.

— Aha! — odpowiada Hrehoryj, bo to czornyj, ni odnoj biłyj szerstynki ne maje na sobi, a ino takij pes hoden wziaty neczystoho.

Oglądamy Ścigaja, który wraz z resztą chartów poszedł za saniami — istotnie ani jednego białego włosa nie miał na sobie.

— No i cóż to było — kończył ks. W. — czy kot, czy zając?

Z nadchodzącym sezonem myśliwskim upraszamy wszystkich szanownych czytelników o nadsyłanie nam relacyj z większych polowań, zwłaszcza zaś o wypadkach szczególniejszych, jużto ze względu na zwierzostan, jużto na ciekawsze odmiany ubitych zwierząt, znamiona chorobliwe i t. p.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.